OKAZJA!
ZIEMIA SANDOMIERSKA
Praca zbiorowa — Wydanie albumowe
Duży format.
Cena 22/- (przesyłka 1/-).
Na zamówienie wysyła
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY
„VERITAS"
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3. ENGLAND

ROK IX. Nr 10 (402)

LONDYN, 6 MARCA 1955 R.

BŁĘDNE JEST ZAŁOŻENIE

Był taki czas, gdy propaganda reżymowa w Kraju udawała, że polskiej emigracji politycznej nie ma. Po okresie huraganowego w latach 1945-47 ataku na Polaków, pozostających na Zachodzie i decydujących się nie wracać do Kraju, nastąpiła głucha cisza. Udawano, że nas nie ma. Wypływało to z dwóch głównych względów. Raz dlatego, że w owych początkowych latach reżym komunistyczny sądził dufnie, iż problem okupacji Polski, a więc i problem emigracji, załatwi szybko i na krótkim toporzysku. Drugi wzgląd był odmiennego rodzaju. Postanowiono ataki na emigrację ograniczyć do minimum, aby przez poruszanie tego tematu, nie przypominać choćby w taki sposób, o istnieniu czynnej polskiej emigracji politycznej i niedostarczać o niej pośrednich informacji.

To komunistyczne założenie zaczęło się już w latach poprzednich nieco zmieniać, dziś zaś zmieniło się zupełnie: w prasie komunistycznej i proreżymowej pełno teraz ataków, inwektyw, oskarżeń, ale i wezwań, przedkładań, nawet pewnego rodzaju pochlebstw i kuszenia pod adresem Polaków, którzy po ustaniu działań wojennych do Kraju nie powrócili. W przydziałach dziennikarskich reżymu wyznaczono odrębnych specjalistów od emigracji, którzy tym tylko tematem zajmują się w swej publicystyce.

Najpierw parę słów o obowiązującej obecnie linii taktycznej w stosunku do problemu polskiej emigracji politycznej. Ułożono na użytek propagandy fikcyjny obraz społeczeństwa emigracyjnego, który rozpracowywany jest zarówno w artykułach na użytek wewnętrzny, jak zwłaszcza w audycjach radiowych na użytek uchodźców. Obraz ma następujące kontury: istnieje kilkuset ludzi licząca klika polityków, wojskowych i byłych ziemian, którzy zdołali zmylić i wprowadzić w błąd wielosettysięczne niewinne masy emigracyjne. Niewielka klika „politykierów" kocha tylko siebie i obce pieniądze, milionowa zaś masa emigracyjna jest z gruntu dobra i kocha szczerze ojczyznę, która teraz przybrała wspaniałą postać Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Od takiego stwierdzenia już tylko brok do samorzucającej się konsekwencji: należy tedy rozerwać krąg hipnozy, jaką rzuciła klika na masy, oderwać je od zgangrenowanej góry i sprowadzić na podołek reżymowej gościnności.

Jest bardzo interesującą rzeczą śledzić zygzaki propagandy reżymu, stosownie do zmieniających się taktycznych ustaleń oraz zdarzeń, jakie zachodzą zarówno w Polsce jak i na emigracji. Prześledzenie nasłuchów radiowych z zeszłego roku wykazuje, jak się ta taktyka rozwijała w sposób idealnie synchroniczny w stosunku do zdarzeń zachodzących w łonie samej emigracji.

Między kwietniem i czerwcem pojawiła się nowa nuta we wspomnianych audycjach. Można by ją nazwać nutą odżywającej nadziei. Reżym skrzepił się w owych dwóch miesiącach przewidywaniem, iż góra emigracyjna da takie przedstawienie niezgody i waśni, iż najbardziej patriotycznie i niepodległościowo usposobione masy będą tego miały dosyć. A wtenczas, a wtenczas... nastąpi słodka okazja dla reżymu, który znowu będzie miał nową falę reemigrantów, jak po pamiętnym oświadczeniu Bevina.

Od dziewiątego zaś czerwca buchnęła ta propaganda z całą już furią w przeświadczeniu, iż naprawdę nadszedł czas wielkiej szansy. W miesiącach letnich i jesiennych zeszłego roku zaczęły pojawiać się nowe audycje, kierowane do coraz to innych grup emigracyjnych: w Zachodnich Niemczech, we Francji, w Wielkiej Brytanii. Audycje te miały trzy motywy: soczysty opis bezrozumu polityków emigracyjnych, pastelowo pociągający opis stosunków panujących w Polsce, oraz piękne, głębokie wezwanie do powrotu do Kraju. Należy obiektywnie przyznać, że podobnie jak samej okazji do tej fazy propagandowej, my sami, to znaczy emigracja polska, dostarczyliśmy reżymowi najbardziej malowniczych fragmentów do opisu stosunków na emigracji. Sprawa zdarcia kłódki z drzwi budynku przy Emperors Gate w Londynie grała w tych audycjach rolę dziejowej Ananke.

Warto w tym miejscu podkreślić bardzo charakterystyczny szczegół. Audycje radia reżymowego na zagranicę nadawane są przez osobną stację, która nosi nazwę „Warszawy III". Na tej to antenie idą w skupiska polskie opisy wspaniałego bytu, jakim się cieszy społeczeństwo w Kraju. Tutaj pojawiają się opisy, wywiady, reportaże na temat rozkwitu życia katolickiego w Polsce, których to materiałów próżno by szukać na innych antenach reżymowych, nadających programy na wewnątrz Kraju. Komuniści nie chcą, zapewne, aby ciepło traktowane w audycjach tematy katolickie przeszkadzały kampanii antyreligijnej, czyli kampanii na rzecz „naukowego poglądu na świat", którą się prowadzi zawzięcie wewnątrz Kraju.

Jeśli byłby ktoś, kto by miał najmniejsze jeszcze złudzenie na temat jakichś zmian w założeniach komunizmu w Polsce, to proste porównanie tonacji i tematyki tych dwóch audycji — na Kraj i na zagranicę — otworzyłoby mu w pełni oczy na bezmiar obłudy i cynizmu narzuconych rządców Polski. Jeśli by ktoś miał jakiekolwiek złudzenia na temat traktowania religii w Polsce, to porównanie powyższe nauczy go więcej, od najbardziej udokumentowanych monografii: religia i Kościół w radiu wewnętrznym niemal nie istnieją, na antenie skierowanej na zagranicę one to, religia i Kościół są głównym tematem, traktowanym z najwyższą atencją i obłudną miłością.

Ale i prasa w Polsce pełna jest w tej chwili tematów emigracyjnych. Pisze o emigracji każde właściwie pismo. Można by te materiały jednak podzielić na dwie zasadnicze grupy: artykuły prasy ściśle komunistycznej i artykuły prasy pseudokatolickiej, czyli prasy „katolików społecznie postępowych". Prasa komunistyczna, wiadomo, wali w emigrację na ślepo siekierą o stępionym ostrzu: masa emigracyjna daje się wodzić za nos, a góra emigracji bierze pieniądze za to, że w łączności z nowym hitleryzmem obmyśla sposób obrócenia Polski w krwawe pobojowisko i stertę zgliszcz.

„Katolicy społecznie postępowi" inaczej. Intencjonalnie cieniej, subtelniej i w ogóle — intelektualnie. Publicystyka katolików reżymowych w całości zasadza się na wynalazku nowej wspaniałej metody, aby rzeczy jasne, a „niezbyt piękne tak omotać" głębią, intelektualizmem i „powrotem do korzeni", że mniej wyrobiony czytelnik rozdziawia usta z podziwem sądząc, że to zawrotne głębie mądrości, podczas gdy to często tylko nieszczęsne „mętniactwo", jeśli i nie co gorszego. Tę samą metodę „głębi" stosuje ta publicystyka w omawianiu losu i roli „dziejowej" emigracji w ogólności, a tej obecnej polskiej w szczególe. Pod wielosłowiem wywodów, kryje się prosta sprawa: pycha. Oni wymyślili sobie teorię interpretacji naszych apokaliptycznych czasów i próbują ją narzucić katolickiemu społeczeństwu w Kraju, które teorię odrzuca, ale milczeć musi. Chcieliby również, aby ich teorię przyjęła emigracja i bierze ich biała pasja, że ona tego uczynić nie chce.

Tak więc idzie skoncentrowane a osobliwe zainteresowanie polską emigracją polityczną na Zachodzie wszystkich czynników prokomunistycznych, które są w tej chwili w Polsce przy głosie. Celem ostatecznym tego zainteresowania jest, rzecz prosta, likwidacja emigracji i jej politycznych możliwości. Zintensywnienie zainteresowania powstało z różnych przyczyn, ale głównie z tego powodu, iż same wewnętrzno-emigracyjne wypadki rozbudziły nową falę oskomy. Komuniści założyli, że skoro góra emigracji zeżre się wzajemnie, problem istnieć przestanie, ponieważ według ich doktryny to gora jest zła, ale masy „patriotyczne".

Cóż za zawód dla biedaków! Słabością komunizmu, jest w ogóle to, że stale jedzie on na fałszywych, albo częściowo fałszywych doktrynach. To samo z emigracją: nadzieje muszą upaść, ponieważ założenie było fałszywe. Na emigracji w rzeczywistości nie góra prowadzi i hipnotyzuje. Naprawdę prowadzą masy, nadając emigracji politycznej po r. 1939 jej cechy charakterystyczne. Jeśli przy zeszłorocznym zachwianiu się strukturalnym polskich urządzeń emigracyjnych całość ich ostatecznie nie poszła w drzazgi, jeśli po kilku miesiącach zaczynają się ukazywać symptomy zdrowego sensu i procesu ozdrowieńczego, to dzieje się tak dlatego, iż polskie instytucje emigracyjne mają takie a nie inne zaplecze mas.

O bardzo wyraźnych cechach charakterystycznych: zdrowego, prostego sensu i wspaniałego odróżniania fałszywego frazesu od prawdy. **J. K.**

EVELYN WAUGH
DZIENNIKARZ Z PRZYPADKU
(SCOOP)
Przekład: Teresy Skórzewskiej
Stron 256. Oprawa płócienna.
Obwoluta według projektu S. Barana.
Cena 15/- plus 6 d. za przesyłkę.
Do nabycia:
w Kat. Ośrodku Wyd. „Veritas"
12, Praed Mews, London, W. 2.
oraz w polskich księgarniach.

ZOFIA ROMANOWICZOWA

N O C

— A czy będę mogła zabrać ze sobą podusię?

Lustro w łazience zaszło parą. Nachylone ku sobie dwie głowy majaczą nie dając odbicia. Mała stoi na krześle i gmerze rączkami w mydlinach. To się nazywa pomagać mamie w praniu.

Podusia? Zagapiłam się i nie wiem o co chodzi. Rzadko, coraz rzadziej bywa mowa o podusi. Powaga lat czterech (i pół) nie pozwala na ciąganie jej za sobą po całym domu ani napieranie się, żeby z nami poszła na spacer. Już zaczyna taić tę miłość, ale wyrzec jej się jeszcze nie potrafi. W chwilach słabości, po jakimś klapsie czy innym zatargu z rzeczywistością, albo kiedy gorączka niepokojąco zatrze kontury świata, nadchodzi pora podusi, pomimo lat czterech i pół. A już koniecznie wieczorem, w łóżeczku. Jeszcze jedno: „pocałowałabyś mamo?", jeszcze chytre, nadprogramowe siusiu w ostatniej chwili, jeszcze, bez wielkiej wiary w powodzenie: „a jabym tak grzecznie posiedziała przy tobie w szlafroczku..." Fortele wyczerpują się i żaden nie zapobiegnie stuknięciu zamykanych w końcu drzwi. Tylko tego czeka ciemność, aby powstać z kątów i wyprzeć aż gdzieś pod sufit drobny listek światła nocnej lampki. Jedna podusia pozostaje. Jej chłodna poszewka, znajoma w dotknięciu, jej wierna obecność od zawsze, od początku, to talizman bezpieczeństwa, to sprzymierzeniec snu.

— Zabrać podusię? Dokąd?

Mała się niecierpliwi. Mogą sobie jej myśli kluczyć, nawracać, przepadać całymi tygodniami, jak zabawki porzucone w kącie. Mnie żadnego tropu zgubić nie wolno.

— No jakto — mówi z pretensją w głosie. — Jak umarnę.

„Musisz sobie zawczasu wyobrazić pytania, jakie ci zada na temat śmierci. Pierwsza odpowiedź musi być prosta i zwykła, nie wolno dopuścić trwogi ani myśli, że śmierć to koniec wszystkiego. Jeżeli sama wierzysz, łatwiej ci będzie wzbudzić tę ufność w sercu dziecka. Kiedy ci mówi o śmierci, weź je w ramiona i daj mu do zrozumienia, że pozostaniecie razem przez długie jeszcze lata".

Dobrą tę radę wyczytam w moim podręczniku hodowli dzieci dopiero później, wieczorem. Tymczasem jestem sama, przyparta do muru niebieskim, inkwizytorskim spojrzeniem.

Pytanie przyszło znienacka. Co się za nim kryje? Gdzie usłyszała to słowo? W jakim kontekście? Co już wie?

Maleńka antena niepokoju nastawiona jest na każde drgnienie mojego serca. Muszę odpowiedzieć niezwłocznie. I tak już mi się liczy i ta sekunda milczenia i to spojrzenie nie do odwołania i ten gest ręki, zbyteczny.

Starannie wyciskam z wody sweterek, czerwony jak poziomka.

— Podusię? Oczywiście, że zabierzesz, jeżeli będziesz chciała.

Sweter z pluskiem wpada znów do wody, piana chlusta. Zaśmiewamy się, obie pełne ulgi.

To jest normalne. Książka mówi, że to jest normalne. Najlepszy dowód, że po rozdziałach traktujących o karmieniu, ząbkowaniu, chodzeniu, mowie, bólach brzuszka i innych przypadłościach przychodzi kolej na „Trwogi i koszmary dzieciństwa". Tak już jest. Następna faza rozwoju, biologicznie, można powiedzieć, nieunikniona.

Więc już. Więc już stoimy obie w tej samej strefie cienia. Z Betlejem do Ogrójca tak bliska byłaby droga?

Ale kto wie, czy nad Betlejem niebo było czyste nawet o pierwszym świcie. Niejasne koszmary niemowlęctwa, nocne płacze, głuche alarmy instynktu, to już było **to**. Szturm ciemności na minutę przed zaśnięciem, z policzkiem na jedwabnej tratewce podusi, to było **to**. I wreszcie pochwycone gdzieś przypadkiem słowo wybija się z tła innych dźwięków, przyciąga i odpycha. Okrąża je pytaniami, bada, szuka dna. Umierać? Co to znaczy? Dlaczego?

To Mała pyta, nie ja...

Ale, cokolwiek by znaczyło, na dziś jesteśmy ocalone. Bo skoro można zabrać ze sobą podusię...

To nic, że dzień grudniowy wstaje po ciemku. Kwadrat okna ledwo, ledwo szarzeje, ale ciemność już nie groźna, już pokonana. Z wyziębłych kaloryferów śpiewa para, zimowy ptak. Daleko zwołują się pociągi. Z najtwardszego snu Mała budzi się do najtrzeźwiejszej jawy nagle, jak wyrzucona z procy, bez żadnego ociągania się, nie zaczadzona. I już wyskakują na podłogę bose nóżki. Ranek, to szpara w drzwiach pokoju pełnego zabawek. Nie ma chwili do stracenia, trzeba je obejrzeć, ułożyć, posmakować każdej. Ile radości! Doprawdy, splatanie warkoczyka, sznurowanie butków, to czysta strata czasu dla kogoś, kto się śpieszy w daleką podróż dookoła nowego dnia.

Czekam na dalsze pytania. Przygotowałam się. Nie przychodzą.

Metoda śledcza Małej jest chytra i kunsztowna. Rzadko celuje w sedno rzeczy, rzadko pyta wprost. Kapuśniaczek drobnych, niewinnych „dlaczego" mży tak nieustannie, że czujność moja zasypia. Tyle jest zresztą rzeczy, które musi wiedzieć zaraz, już, bez żadnej hierarchii, bo wszystko jest jednakowo ważne. A kiedy mi się zdaje, że najdalej odbiegła od niebezpiecznego tematu — ona zbiera dane. I potem nagle — wie. Po swojemu, ale wie. Z porozrzucanych bezładnie klocków układa sobie całość — swoją prawdę, którą sobie sama wyśledziła.

Radosna, coranna wyprawa dookoła świata jest właściwie wyprawą na poszukiwanie samej siebie. Lalki, obrazki, tablica upstrzona kredą, spacery z mamą, to co naprawdę i to co na niby, wszystko służy do ogarnięcia siebie, do wyśledzenia praw rządzących systemem, w którym słońce jest nieświadome zasad grawitacji. Śpieszy się, żeby wszystko przymierzyć do siebie, do swego losu. Z rzeczy, które się dzieją w koło, co dotyczy **mnie**, co **mnie** się może wydarzyć? To tylko się liczy.

W pośpiechu, w radosnym krzątaniu się ranka, na pstry kłębek mota się czarna niteczka niepokoju, razem z innym. Wysnuta z zakamarków nocy jak cień, który o białym dniu czyha za plecami na swoją chwilę.

Na rogu ulicy sprzedaje bilety na loterię inwalida. Kupujemy u niego co piątek, w drodze na targ, kolorowy los, przynętę fortuny. Mała wybiera. Oczka, które bystro śledzą, jakoś długo omijają drewnianą protezę. Może bierze to za rodzaj laski, za przedmiot, należący do tego pana w sposób zwykły, a nie tak intymny. A może po prostu trzeba podrosnąć do tego rodzaju spojrzenia, jak do zębów trzonowych? Przejęta swoją rolą długo przebiera kolorowe papierki, szukając najładniejszego. Któregoś dnia, po raz pierwszy, spostrzega.

Lawina pytań, która spada na mnie, dotyczy nie tyle inwalidy, co jej samej, poprzez niego. Jest wytrącona z równowagi, wstrząśnięta. To niespodzianka. Któżby pomyślał, że może grozić strata czegoś tak własnego, tak naturalnie przynależnego sobie, jak ręka czy noga?

Czy ten pan zapomniał sobie urodzić nóżkę? A czy ona sama odpadła? Jak murzynkowi z celuloidu? A dlaczego? A czy dzieciom też się nóżki gubią? A czy odrastają nowe?

Podskakuje z protezą z patyka. Gra. Żeby wiedzieć, jak to jest. Żeby zażegnać.

Tego dnia murzynek z celuloidu traci drugą nóżkę.

Uspakajam jak potrafię, tłumaczę. Słucna, potakuje, marszczy czółko. Nie umie wyrazić myśli. Bo skoro ten pan z biletami... Już przeczuwa wielką wspólnotę ludzkich przeznaczeń, jedyną krynicę cierpienia. Poprzez osobę pana z biletami ugodzono w jej poczucie osobistego bezpieczeństwa. Cokolwiek komu się dzieje, to przykład i projekt i zamach i groźba dla nas — to cząstka wspólnego dziedzictwa.

I od tej pory, ledwo wyjdziemy z domu, zbiegają się straszydła, garbusy, ślepcy, kulawi, z całej dzielnicy. Mała widzi. Nie może już nie widzieć. Może się powoli przyzwyczai. To znaczy urośnie.

Myślę o małym Dziecięciu, królewskim stworzeniu, które nie może się nadziwić, że przyszło na świat w klatce.

A tymczasem w pokoju stoi już choinka, ubrana srebrem i złotem. Nie ma nic radośniejszego niż Boże-narodzeniowe wtajemniczanie. Mała dopytała się właśnie jak to było gdy się urodziła. Tylko cztery i pół roku, a już ciemność taka gęsta poza nią. Nie pamięta, nie przyniosła ze sobą niczego, tylko tajemnicę i lęk. Z wdzięcznością dowiaduje się, że byłyśmy razem. „W środku" mamy, to znaczy ciepło i bezpiecznie, to znaczy też od początku, od wieków, od zawsze. Oto wstępny paragraf genezy, jaśniejący otuchą.

Jakby na ilustrację tej dobrej nowiny nadchodzi pora Świąt.

Królewski dar dla matek i dzieci, Wcielenie, pierwsza tajemnica wiary! Bez niego byłabym tak uboga! Jakże łatwo odpowiadać na pytania o stajence! Mały, Boży nagusek jest miły jak młodszy brat. Strzygąc łańcuchy i gwiazdy kolędujemy z zapałem.

Kolędy są tekstem świętym na jej miarę. Słucha chciwie, chwyta w lot. Wie dobrze, że nie są to zwykłe piosenki, że historia Dzieciątka złożonego w żłobie dotyczy jej najściślej. Poprzez apokryficzne akcesoria, gwiazdę i żłób i bydlęta, poprzez tysiąclecia. Dobra Nowina raz jeszcze zstępuje z wysokości, opromienia frasobliwe i trwożne cztery i pół lat, przemawia wprost. Dla niej słowo posiada pierwszą swoją moc. Nie musi, jak my, prawdy doskrobywać się spod symbolu.

Oczywiście, niełatwo sobie to wszystko poukładać w główinie. Napocę się nieraz prostując teologiczne nieścisłości.

— To kto był tatusiem Jezuska? Józef stary? A mamą? Matka Boska czy Bozia?

Ambaras. Jak wyprowadzić córkę z gnostycznych manowców, na które przed nią tyle innych owieczek zaciągnęła zdradna gramatyka? Szczęście, że to co za trudne, co za nudne, samo się ześlizguje z móżdżku napiętego w samoobronie.

— A ile lat kończy teraz Jezusek? Ileżby? Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt cztery...

— Jak ja? — cieszy się Mała.

Ale co tam, ortodoksyjna sterylność! Na przesiewanie kąkolu przyjdzie sobie inna pora. Pasterze, przybiegłszy do stajenki, padli na kolana. Córeczka kolęduje.

Którejś ze świątecznych niedzieli wybieramy się na jasełka do sierocińca. Na ubożuchnej scenie leżą snem zmorzone krakusiki w żółtych kierezyjach, z pawimi piórami u czapek. Długonosa Matka Boska ma katar. Dukają, mylą się, przestępują z nogi na nogę. Pełna zawodu porównuję: nie takie to były jasełka za „moich" czasów.

Ale dla córeczki to są właśnie jej czasy i jej jasełka. Cóż ją obchodzą niedociągnięcia „mise en scène"? Albo to dla niej teatr tylko? Patrzy szeroko otwartymi oczami i widzi z pewnością cuda. Trzęsą się pióra, błyszczą cekiny, przytupują czerwone buty. W żłóbku Dzieciątko i siano, jak w kolędzie.

Ma wypieki. Głośnym szeptem pyta:

— Czy ona żywa, ta pani Bozia?

„Żywa", znaczy tutaj „prawdziwa".

Do stajenki schodzą się Trzej Królowie z brodami, w koronach. Składają Dzieciątku dary. To zrozumiałe, przecież ono obchodzi swoje urodziny.

Ale Herod? Co Herod tymczasem? Jestem niespokojna, zataiłam jakoś Heroda. Przed betlejemskim żłóbkiem bisują krakowiacy i górale. Trzęsą się mysie warkoczyki, różowią buzie. I wreszcie zapada kurtyna.

— Już koniec? — krzywi się Mała.

Ale ja oddycham z ulgą. Dobre siostry scenzurowały Heroda, jak ja. Może do przyszłego roku starczy jakoś odwagi, jej i mnie, na Heroda i na płacz matek ziemi judzkiej.

Cóż stąd, okres świąteczny pełen jest innych zasadzek. Ona teraz już widzi, nie ma rady. Nie można jej przeprowadzić chyłkiem mimo drewnianej nogi inwalidy.

Świąteczne wystawy są jak ilustracje do baśni. Wędrujemy razem, godzinami tkwimy w zachwycie przed świętym Mikołajem w saniach, przed stadkami białych aniołów, przed Alą z krainy czarów i przed baletem pluszowych niedźwiadków.

Ale co to? Przed wędliniarnią, przybraną w czerwone wstęgi, chuda sarenka w futerku splamionym krwią patrzy szklistymi oczyma, na ozdobę. Mała aż blednie. Jeszcze nie wie, że zabili ją ludzie. Jeszcze nie o to jej chodzi.

— Czy ona żywa, mamusiu?

Słowo „żywa" jest tutaj użyte w potocznym znaczeniu.

— Dlaczego nieżywa? Bo się nie rusza? Ale była kiedyś żywa? Kiedy? A teraz już nie? Dlaczego? Bo jak się nie żyje, to tak?

To tak? Ciągnę Małą za rękę, uciekam przed tym pytaniem. W sąsiednim sklepie iskrzy się śnieg z naftaliny i pociągi elektryczne pędzą i brzęczą wesoło.

Sprawdziłam. Książka też radzi, by nie zaokrąglać pytań, nie wyczerpywać kwestii. Pocóż miałyśmy stać dłużej przy tej sarence? I tak wszystko przyjdzie za wcześnie.

Niedługo wydało się, że człowiek zjada. Że było żywe to, co jemy. Stało się to z okazji zakupu karpia na obiad. Córeczka lubi ryby, ale wierzyła, że te, które się jada, są inne, nieprawdziwe, to znaczy: różne od tych, co pływają w wodzie.

— Widziałaś, jak on się ruszał, mamo? A teraz co? Czy jego boli, jak jemy? A w brzuszku?

To nie ja wymyśliłam przecież „wielki cykl węglowodorowy" i nie ja byłam pierwszym myśliwym czy pierwszym rybołówcą. Dorosłam zresztą, to znaczy przyzwyczaiłam się. Jak długo można się zastanawiać nad każdym zjadanym befsztykiem? Ale pytania córki budzą we mnie dziwne uczucia. Trudno mi przed nią się przyznawać do tych wszystkich rzeczy, jak gdyby się stały z mojej winy, jak gdyby mogło być naczej... Myślę o pierwszej matce naszej, Ewie. Oprócz rodzenia w męce, oprócz wielkiej skazy, musiała nam jeszcze przekazać ten wstyd, niejasną pamięć ogrodu. Ona, gdy ją pytali synowie, miała jeszcze wyraźnie przed oczyma zielone łąki, gdzie lew pasał się z barankiem pospołu i gdzie spośród korzeni drzewa Żywota tryskało źródło rzek. Nie było tam myśliwych i nie było tropionych. Kto łaknął, nie musiał zabijać. Nie było też słowa **śmierć**, bo nie rzuca cienia to, co nie istnieje.

Niebieskie oczy patrzą na mnie, myślą. Jest mi wstyd i żal. Dlaczego nie mogę jej ofiarować innego świata?

Kończą się czasy, kiedy mogłam wyliczyć się dokładnie ze wszystkich umiejętności i wiadomości córeczki, bo wszystko w jakiś sposób przychodziło do niej przeze mnie. Powoli idzie „między ludzi". Konfrontuje, przeszacowuje każde moje słowo.

— Mówiłaś, że się idzie do nieba — mówi z pretensją w głosie.

— No tak, wraca się do nieba.

— A pani mówiła właśnie, że się idzie do ziemi. Jakto?

Tłumaczę, że ma się duszę i ciało, że odmienne czekają je losy. Ale Mała dość już wie o niebie. Za to co się dzieje, gdy jest się w ziemi? Czy to są takie domki, jak mają krety? Te domki, co widzimy z okna pociągu?

Sto razy mijałyśmy podmiejski cmentarz przy torze kolejowym. Nie zapytała o nic. A teraz wie.

— A w zimie? A jak pada deszcz? Przygnębia ją ta perspektywa ogromnie. Co mam mówić?

Więc, choć to może za wcześnie, choć książka odradza, dzielę się z nią obietnicą. Że zmartwychwstaniemy. Jak Jezus. Który także umarł, a popatrz, nic Mu się nie stało. Że tylko w tych domkach poczekamy sobie na Niego, aż drugi raz wróci na ziemię i wtedy obudzi nas i zaprowadzi i znowu się połączą dusze i ciała.

— Ale ja z tobą, mamo? — niepokoi się.

— Wszyscy co się kochają będą razem.

— A dzieci?

— Jakie dzieci?

— Co się nowe urodzą?

— Już się nie będą rodziły i nie będą umierały.

Perspektywa zmartwychwstania fascynuje ją, zaciera, szklistość oczu sarny, martwotę karpia, niepokojące szeregi domków za szarym murem. Jest to perspektywa jakby wielkiej podróży w niebo, w chmury, w słońce. A czy urosną nam skrzydła, jak aniołom? No to jak będziemy fruwali? A... a podusia?

Tego wieczoru zamiast bajki przedłuża się opowiadanie o Raju. Mała słucha przejęta, dopytuje się dokładnie. Wreszcie sen napływa mimo woli. Całuję, obtykam kołderkę. Od progu jeszcze mnie woła:

— Ale czy on nie zapomni

Nie rozumiem.

— No Jezus, czy nie zapomni przyjść po nas i zabrać nas z sobą?

Stoję chwilę przed zamkniętymi drzwiami. Chyba już śpi — tak cicho. Nocna lampeczka filtruje słabe światło przez szpary. Nie mogę nic jej pomóc. Każdy zostaje sam, ze swoją trwogą. Noc taka długa. A On — czy nie zapomni przyjść po nas?

„A teraz rozpatrzmy owe dowody Bożej potęgi. Dzień się rozpływa w nocy i pogrzebion jest przez ciemności. Wspaniałość świata kona, istota jego mierzchnie. Wszelka rzecz staje się bezbarwna, cicha, niema; wszędzie bezruch i spokój. A my opłakujemy światłość utraconą. A przecież zawsze, w urodzie sobie właściwej, w szczodrobliwości, w słońcu, taż sama, nienaruszona, zupełna, światłość odradza się na szczęście światu, niwecząc noc, która jest jej śmiercią, krusząc grobowiec ciemności, przedłużając samą siebie, aż póki noc nie zmartwychwstanie ze świtą swoją. Bowiem promyki gwiazd, które zgasiła zorza, powracają do życia i konstelacje, oddalone na czas oznaczony, zawracają z drogi i oblicze księżyca, starte miesięcznym biegiem, rozbłyskuje na nowiu.

Zima i lato następują po sobie przykładnie, jak również wiosna i jesień, każde z właściwościami i owocami swoimi. A tymczasem ziemia uczy się od nieba jak przystrajać drzewa, całkiem obnażone, jak kwiatom przywracać ich barwy, jak rozścielać trawy, zaś ziarna, przygrzane słońcem, pęcznieją i spożyte zostaną. O cudowny Boży sposobie, który obłupiwszy chronisz, który kaleczysz po to, by pomnożyć! I zaprawdę, za pośrednictwem cudu

(Dokończenie na str. 2)

ZJAZD AKCJI KATOLICKIEJ ZWRACA UWAGĘ SPOŁECZEŃSTWA NA NOWY ZAMACH KOMUNISTÓW NA WOLNOŚĆ KOŚCIOŁA

W dniach 12 i 13 lutego br. odbył się w Londynie doroczny Zjazd Delegatów i zebranie Rady Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii. Pierwszy dzień po południu poświęcono w tym roku zagadnieniom praktycznym, dotyczącym metod pracy w kołach i organizacjach katolickich, które korzystają z pomocy IPAK-u. Dwa referaty i pokazowe zebranie podkreślały znaczenie dobrze przygotowanych i sprawnie, interesująco, prowadzonych zebrań dla pracy oświatowo-wychowawczej A. K. Szczególny nacisk położono na umiejętność korzystania z wydawnictw w pracy A. K.

Drugi dzień, po nabożeństwie ze wspólną Komunią św. i pięknym kazaniem ks. prał. W. Staniszewskiego, był poświęcony zebraniu Rady, które otworzył jej prezes p. J. Baliński Jundziłł. Po przemówieniu ks. infułata B. Michalskiego interesujący referat p. t. „Posłuszeństwo Kościołowi podstawą Akcji Katolickiej" wygłosił dr W. Jelonek. Resztę obrad wypełniły sprawozdania zarządu IPAK-u, dyskusja nad nimi i nad programem pracy na rok obecny oraz wybory uzupełniające do zarządu i komisji rewizyjnej. Wybrano ponownie osoby ustępujące w tym roku oraz jako nowych pp.: płk. Czocha i St. Grocholskiego. Zamiary wydawnicze Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" w zakresie pomocy szkolnych i czytanek dla dzieci przedstawił zebranym red. J. Kisielewski.

***

Zjazd powziął uchwałę, wskazującą na niebezpieczeństwo nowych metod walki z Kościołem w Polsce. Ze względu na jej ogólne znaczenie podajemy ją w całości:

„Zjazd delegatów Polskiej Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii wyraża najgłębszy hołd cierpiącym za wierność Kościołowi Chrystusowemu, przede wszystkim Jego Eminencji Kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu, najdostojniejszemu Prymasowi Polski,

wszystkim arcybiskupom i biskupom polskim przebywającym w więzieniach i z dala od swych diecezji,

księżom, zakonnikom i zakonnicom uwięzionym lub wypędzonym z ich domów, wszystkim katolikom, znoszącym prześladowanie dla Wiary i sprawiedliwości.

Zjazd Delegatów Polskiej Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii zwraca uwagę społeczeństwa na nowe sposoby walki z religią, przeszczepione z Moskwy, polegające na odebraniu Kościołowi przyrodzonego prawa do kształcenia duchowieństwa przez biskupów - ordynariuszy i podporządkowaniu kształcenia duchowieństwa organom komunistycznego państwa.

Zjazd Delegatów Polskiej Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii ubolewa, iż grupa tzw. katolików reżymowych uległa błędnym teoriom determinizmu społecznego i stała się narzędziem międzynarodowego komunizmu do walki z Kościołem Powszechnym, a zwłaszcza ze Stolicą Apostolską.

Zjazd Delegatów Polskiej Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii wyraża ufność, że dusza narodu nie ulegnie wypaczeniu i Polska mimo ucisku bezbożnego komunizmu pozostanie wierna Chrystusowi, którego Najświętszą Matkę obrała sobie za Królową.

Zjazd Delegatów Polskiej Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii wzywa wszystkich Polaków do wytrwania w Wierze i w tradycji ojców i łączy się w modlitwach z całym światem katolickim, by Bóg Wszechmogący wspomógł mocą duchową cierpiących, walczącym o sprawiedliwość chrześcijańską dał moc i wytrwałość, a Krajowi naszemu przywrócił wolność."

W 6 LAT PO WYROKU

Pod tym tytułem „Osservatore Romano" poświęcił specjalny artykuł kardynałowi Mindszenty. Artykuł kończy się zaznaczeniem, że wielu „sędziów" kardynała stało się „zdrajcami" i popadło w niełaskę, kardynał jednak pozostaje nadal w więzieniu za Prawdę i Sprawiedliwość. Ludzie przemijają, taktyka postępowania ulega zmianom, lecz nienawiść antyreligijna pozostaje niezmieniona i nie przebacza swoim ofiarom.

N O C

(Dokończenie ze str. 1)

tego, większe i milsze dobra niż te, któreśmy potracili, stają się udziałem naszym, ruina w bogactwo się zmienia, co odjęte zwrócone zostaje, a wszelka strata w korzyść się obraca. Pozwólcież, niech więc wam powtórzę: odnowa jest istotą rzeczy, to, co ginie, do pierwszego stanu swego wraca, co kończy się — zaczyna, a jeśli umiera, to po to, żeby łacniej mogło się odrodzić. Nie ginie nikt, jeno by zbawienia dostąpił. Dlatego to obrót koła żywota całego świadczy o zmarłych powstaniu."

Echo z pierwszych wieków przemawia do mnie głosem matki, co pragnie ukołysać dziecko.

Lecz nagle spoza zamkniętych drzwi krzyk i płacz. Rzucam książkę, już jestem przy łóżeczku.

— Mama — żali się Mała — mama... Bo ja nie umiem zmartwychwstać!

Zofia Romanowiczowa

WIELKI WYCHOWAWCA MŁODZIEŻY

KS. BRONISŁAW MARKIEWICZ

Leży przede mną książka pióra ks. prałata Walentego Michułki pod tytułem „Ksiądz Bronisław Markiewicz", wydana nakładem autora przez Fundację „Veritas" (12, Praed Mews, London, W.2, Anglia, 1954). Przeczytałem ją z przyjemnością niemal jednym tchem z dwóch powodów: najpierw, bo opisuje miejsce, osoby i wypadki znane mi osobiście: Miejsce Piastowe, parafie, seminarium, biskupów i księży diecezji przemyskiej w Polsce; po wtóre, przede wszystkim dlatego, że poprawnym językiem polskim maluje niezwykłą postać kapłana i patrioty polskiego, wychowawcy polskiej młodzieży przed pierwszą wojną światową. Ks. Bronisława Bonawentury Markiewicza, założyciela męskiego zgromadzenia zakonnego św. Michała Archanioła i zgromadzenia sióstr zakonnych pod tą samą nazwą, a obecnie kandydata na ołtarze Pańskie.

Książka licząca 341 stron in 7-o składa się z dwóch części: pierwsza zawiera żywot ks. Br. Markiewicza (strony: 7 - 238), druga zaś jego życie duchowne i cnoty (strony: 239 - 323). Dodatek pióra ks. Bartłomieja Sławińskiego, wychowanka ks. Markiewicza i członka jego zgromadzenia zakonnego, opisuje dalszy rozwój zakładów w Miejscu Piastowym i w innych miejscowościach Polski po śmierci fundatora, łaski otrzymane za jego wstawiennictwem oraz wiadomości o księżach wychowankach Ks. Markiewicza przebywających w Stanach Zjednoczonych. Całość przedstawia się poważnie; zarówno treść jak i forma książki gwarantują temu dziełu poczesne miejsce w historycznej literaturze polskiej.

W pierwszej części książki czcigodny autor przedstawia miejsce urodzenia — Pruchnik koło Jarosławia, Małopolska — i rodzinę Ks. Br. Markiewicza, jego lata szkolne, cudowne powołanie do kapłaństwa, wywołane przepowiednią tajemniczego młodzieńca w Przemyślu, dalej studium teologiczne i filozoficzne w Seminarium Przemyskim, później też na Uniwersytecie we Lwowie i Krakowie oraz jego pracę kapłańską, duszpasterską i wychowawczą. Według tego opisu Ks. Br. Markiewicz staje przed nami jako gorliwy kapłan-duszpasterz i gorący patriota polski, najpierw jako wikariusz czyli asystent przy katedrze w Przemyślu, potem jako proboszcz w Gaci koło Przeworska i w Błażowej koło Rzeszowa. Dbał on nie tylko o prowadzenie dusz do Boga przez udzielanie im sakramentów świętych (częste spowiedzi i kazania), ale także o zdrowie fizyczne swych parafian; szczególniejszą opieką, wzorem Pana Jezusa, otaczał ubogich, jak to wyraźnie się okazało w czasie strasznej zarazy w Przemyślu w 1872 roku.

Gorliwa praca duszpasterska Ks. Br. Markiewicza zwróciła na niego uwagę władzy kościelnej, która go powołała na profesora teologii pasterskiej w seminarium duchownym w Przemyślu. Urząd ten sprawował od 1882-1886; owoc tych wykładów ukazał się w jego cennej książce „O wymowie kaznodziejskiej", wydanej w roku 1898.

Jednak Ks. Markiewicz pragnął poświęcić się głębszemu życiu ascetycznemu. Widział co do tego objawioną mu w czasie widzenia tajemniczego młodzieńca wolę Bożę. W myśl przepowiedni uzyskanej w czasie tego widzenia, wybrał się w roku 1886 do Turynu do Włoch, gdzie wstąpił do zgromadzenia księży salezjanów i spędził tam lat kilka przy boku Ks. Jana Bosko. Zaczerpnął tam ducha tego świętego zakonodawcy i przejął się metodą jego pracy nad młodzieżą opuszczoną. W 1892 roku Ks. Br. Markiewicz powrócił do Polski i jako proboszcz w Miejscu Piastowym koło Krosna zaczął wielkie dzieło wychowania polskiej młodzieży opuszczonej, które owocnie prowadził aż do swej świątobliwej śmierci 29 stycznia 1912 roku. Oddziaływał nie tylko na Małopolskę, ale i na Królestwo i Poznańskie, bo młodzież ze wszystkich stron Polski zwracała się do niego, a jego zakłady znajdowały się w różnych dzielnicach Polski.

W prowadzeniu i rozwijaniu tego dzieła napotykał Ks. Markiewicz na niemałe trudności. Z tego powodu odłączył się od zgromadzenia księży salezjanów i założył oddzielne zgromadzenie zakonne, męskie i żeńskie, na podstawie pierwotnej ostrzejszej reguły Ks. Jana Bosko, która „domagała się od swych członków apostolskiego ubóstwa i heroicznego zaparcia się i poświęcenia" (str. 101). Ks. Br. Markiewicz nie doczekał kościelnego zatwierdzenia tych zgromadzeń; stało się to dopiero po jego śmierci. Jednak przejścia te i trudności nie zachwiały wytrwałości sługi Bożego i nie złamały ducha, który ciągle dążył i drugich prowadził do doskonałości.

Temuż tematowi Ks. Prałat Michułka poświęca parę rozdziałów w pierwszej części i całą drugą część swego dzieła: rozważa w nich niezmordowaną pracowitość i cnoty Ks. Br. Markiewicza: wiarę, nadzieję, miłość Boga i bliźniego, zjednoczenie z Bogiem i ducha modlitwy, pokorę (rozdz. 38, str. 164), bohaterską cierpliwość i ufność (rozdz. 47, str. 206), omawia wreszcie jego przepowiednie dotyczące założonych zgromadzeń zakonnych, a także powszechnej wojny światowej i zmartwychwstania Polski.

Ks. Bronisław Markiewicz szerzył swe idee w piśmie „Powściągliwość i Praca", które wydawał. „Powściągliwość i praca", to jedyne, według niego, lekarstwo na niedomagania narodowe (str. 298). Zasadą, którą się Ks. Br. Markiewicz kierował w życiu, była również powściągliwość i praca. Ile np. wiary, cierpliwości i poświęcenia trzeba było, żeby przeżyć choćby jeden dzień z setkami dzieci ubogich na utrzymaniu, bez żadnych stałych na ten cel funduszów (str. 211).

A siły do tej pracy i poświęcenia czerpał Ks. Markiewicz w modlitwie, bo był to mąż modlitwy i nadzwyczajnej wiary w Opatrzność Bożą. „Modlitwę sobie wysoko cenił i stawiał ponad wszystkie czynności" (str. 282). Modlił się w kościele parafialnym, w kaplicy zakładowej, w warsztacie rzemieślniczym, za siebie i za drugich. Modlił się, gdy widział owoce swej pracy, nie ustawał się modlić, gdy ich nie widział — chyba w duchu proroczym. Modlił się, gdy zakładał zgromadzenia zakonne, modlił się, gdy nie dostał ich kościelnego zatwierdzenia. Modlił się, gdy budował dom dla chłopców; modlił się, gdy zakład stanął w pożarze. Modlił się, gdy przyjmował chłopców do zakładu; modlił się, gdy ich nie miał czym wyżywić. Modlił się, gdy sprowadzał towary ze sklepów; modlił się, gdy dłużnicy przychodzili po pieniądze, a kasa była pusta. Modlił się w zdrowiu, gdy siły mu dopisywały; modlił się w chorobie, gdy siły go opuszczały; z modlitwą na ustach zamknął oczy po raz ostatni.

Jak i u innych Świętych będących na mistycznej drodze zjednoczenia z Bogiem, podobnie i u Ks. Br. Markiewicza zatarła się granica między godzinami modlitwy, pracy i spoczynku; wszystkie jego myśli i pragnienia, słowa i czyny były kierowane ku Bogu zgodnie z nauką św. Pawła: „Czy tedy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek innego czynicie, wszystko czyńcie ku chwale Bożej" (1 Kor. 10, 31). Całe też życie Ks. Markiewicza było modlitwą nieustanną.

U źródeł jego cnót była pokora. „Upokorzenia go nie złamały, bo był mężem wielkiej pokory" (str. 165). Powtarzał zdanie św. Bedy, że „Kościół chce wzrastać pokorą" (str. 209), stąd za przykładem Świętych nazywał błogosławieństwem Bożym „każdy krzyż, cierpienie, chorobę, poniżenie lub nieżyczliwość ludzką" (str. 207). Jak się w takich wypadkach sam zachowywał? „W chwilach większych krzyżów i doświadczeń był więcej rozrzewniony, ale nie przygnębiony... zdawało się, że żyje poza atmosferą ziemską, że zmiany życia nie robią na nim żadnego wrażenia" (str. 279). Nie doczekał zatwierdzenia swych zgromadzeń, ani też wskrzeszenia ukochanej Polski, ale nie przestawał w to wierzyć i przepowiedział i jedno i drugie.

Jak wielcy Święci i Święte, Franciszek z Asyżu, Jan od Krzyża, Teresa od Jezusa, Ignacy Loyola, Jan Bosco i tylu innych bohaterów cnoty, Ks. Br. Markiewicz napotykał także na trudności w swej pracy i w realizowaniu swych ideałów. Wierzył jednak, że każde wielkie dzieło, jak dzieło samego Mistrza — Chrystusa, napotyka na wielkie trudności; dlatego naśladował Chrystusa: „zaparł samego siebie, wziął krzyż swój" (Mat. 16. 24) i z poddamiem się woli Bożej dążył wytrwale do celu wyznaczonego mu przez Opatrzność Bożą.

Nie widać u niego mistycznych ekstaz ani stygmatów, jednak te nadzwyczajne objawy nie stanowią istoty doskonałości. Jedynie „miłość jest związką doskonałości" (Kol. 3, 14), a ta przenikała wszystkie jego czyny; noszą one na sobie charakter dzieł heroicznych, bo przekraczają zwyczajną miarę ludzką. Są to słodkie i dojrzałe owoce darów Ducha Świętego (Gal. 5, 22 i n.).

Ks. Br. Markiewicz prowadził życie zwyczajne, ale owiane nadzwyczajną miłością Boga i bliźniego. Miłość i poświęcenie stanowią treść całego jego życia. Zostawał on pod działaniem Ducha Świętego, który przez swoje dary i natchnienia kierował go ku doskonałości i ku wielkim dziełom dla dobra dusz ludzkich i chwały Bożej. Dar mądrości objawiał się u niego raczej w formie praktycznej, jak u św. Wincentego à Paulo. Czysto ludzkimi siłami trudno wytłumaczyć to wszystko, czego dokonał, a co się rozrosło nad miarę ludzką, jak to ziarno ewangeliczne; jego zgromadzenie męskie — mimo strat wojennych — liczy dzisiaj 155 członków, zgromadzenie sióstr jest nie mniej liczne, a wychowankowie jego liczą się na tysiące. Jest to więc dzieło łaski Bożej, której wybranym i pokornym narzędziem był Ks. Br. Markiewicz.

Postać Ks. Br. Markiewicza jest szczególniej miłą i drogą sercu każdego Polaka. Oddziaływał on nie tylko na współczesne sobie pokolenie, ale oddziałuje dalej i na potomnych przez swe dziedzictwo duchowe. Za wcześnie byłoby analizować naturę jego przepowiedni, czy są nadprzyrodzone; warto jednak powtórzyć za autorem książki to, co Ks. Br. Markiewicz nam jako narodowi powiedział: „Polacy przez ucisk oczyszczeni i miłością silni będą przewodnikami innych narodów" (str. 18). Jakże na czasie jest dzisiaj dla nas, skłóconych Polaków, jego nawoływanie do jedności: „O, gdybyście wiedzieli, co wkrótce przyjść ma... inaczej byście postępowali. Nad światem wisi kara Boża... Czy potrzeba aż potoków krwi, abyście się upamiętali?" (str. 318). Oto narodowy rachunek sumienia tego nowoczesnego Skargi, tak aktualny dla obecnej emigracji!

Czytając książkę o Ks. Markiewiczu, dziękujemy Stwórcy, że daje Polsce takich światłych synów. Oby Pan Bóg rychło wsławił cudami Księdza Bronisława Markiewicza, a Kościół święty wyniósł go na ołtarze Pańskie jako nowoczesnego Patrona Polski!

Kończę tę nieudolną notatkę, aby ułomnymi słowy — zamiast podnieść — nie umniejszyć wielkości tego męża opatrznościowego i jego dzieła. Moje uwagi są tylko słabym echem tego, co o nim napisał ks. Michułka, a także ojciec Franciszek Domański, T. J., w swej przedmowie, a ks. Bartłomiej Sławiński w dodatkach. Czytelnik najlepiej przekona się o tym, jeśli przeczyta książkę w oryginale. Niech to pożyteczne i wartościowe dzieło znajdzie się w rękach każdego, w kim bije serce polskie, a to dla zbudowania i naśladowania cnót Ks. Br. Markiewicza, dla podtrzymania wiary w przyszłość naszej ojczyzny i zgodnej pracy dla niej, dla przyspieszenia beatyfikacji tego kapłana patrioty i wychowawcy polskiej młodzieży — a wszystko na większą chwałę Bożą.

Ks. prof. Adolf Tymczak

Immaculate Heart Seminary, El Cajon, California.

CZY RODZI SIĘ ANGIELSKI NIEPOKALANÓW?

To, co napisałem poniżej, oparte jest wyłącznie na wiadomościach ze źródeł angielskich. Żaden, nawet najdrobniejszy szczegół o tym, nie dotarł do mnie ze źródeł polskich — i niczego u źródeł polskich nie sprawdzałem.

Rozmawiałem kiedyś z pewną panią, Angielką, katoliczką, o Ojcu Maksymilianie Kolbe i o książce o nim, świeżo wydanej: John Burdyszek, O. F. M. Conv., „Father Maximilian Kolbe: Fire Enkindled" (Dublin, Clonmore & Reynolds, 1954, cena 5 szylingów).

— To będzie wielki święty. Jeszcze nie jest kanonizowany, a jego kult już się szerzy jak płomień. Dokładnie tak, jak w swoim czasie kult św. Teresy z Lisieux. Ludzie mówią, że modlitwa, zwrócona do Boga za jego pośrednictwem jest szczególnie skuteczna. Czy czytał pan książkę ojca Burdyszka?

— Nie czytałem, ale miałem ją w ręku i dość uważnie przejrzałem.

— Na mnie książka ta zrobiła takie wrażenie, że napisałam do Ojca Burdyszka list. Niech pan zobaczy, co mi przysłał.

Pokazała mi święty obrazek, poświęcony Marii Niepokalanej i kilka powielonych okólników.

— Niech pan ten obrazek zatrzyma. Mam ich kilka. A druczki niech mi pan potem zwróci.

Obrazek, czterostronicowy, ma na pierwszej stronie napis: „Crusade of Mary Immaculate" i wizerunek Niepokalanej, a na ostatniej fotografię Ojca Maskymiliana Kolbe i modlitwę na intencję jego beatyfikacji. Stronice środkowe zawierają informacje o Krucjacie Niepokalanej, założonej przez Ojca Kolbego w roku 1917 i o przyznanych uczestnikom tej krucjaty od roku 1926 odpustach papieskich. Obrazek zawiera Imprimatur biskupa salfordzkiego z roku 1953.

Kim jest Ojciec Burdyszek?

Zajrzałem dla sprawdzenia do Catholic Directory. W wydaniu na rok 1955 figuruje on w spisie duchowieństwa angielskiego (adres: 59, Howden Road, Blackley, Manchester 9); w spisie księży polskich nie jest wcale wymieniony. Natomiast w wydaniu na rok 1954 figuruje jeszcze wśród kapelanów wychodźstwa polskiego — z adresem w Liverpoolu. Jest to więc franciszkanin polski, przekazany do pracy wśród katolickiej ludności angielskiej. Jak wynika z jego naprawdę pięknej i godnej najszerszego rozpowszechnienia książeczki, znał on osobiście Ojca Kolbego i jest jednym z jego uczniów: pracował pod jego kierownictwem w Niepokalanowie, jako jeden z owych 700 Ojców i Braci, tworzących społeczność franciszkańską w tym zadziwiającym, stworzonym przez Ojca Kolbego miasteczku.

I cóż Ojciec Burdyszek w Anglii robi?

Najwyraźniej — usiłuje założyć tu Niepokalanów angielski, wzorując się na swym Mistrzu, który założył najpierw Niepokalanów polski, a potem Niepokalanów japoński, i który nosił się z planami założenia szeregu innych takich Niepokalanowów w wielu krajach świata, w czym mu śmierć męczeńska w Oświęcimiu przeszkodziła. (Czy wszyscy Polacy wiedzą, że Ojciec Kolbe zbudował Niepokalanów japoński w Nagasaki na zboczu, które uważano za miejsce tak dalece nieodpowiednie, iż czyniono starania, by mu tego zabronić? Ojciec Kolbe obstawał przy tym, że to miejsce najlepsze i wyprosił potrzebne zezwolenie od władz kościelnych. I miał rację: bomba atomowa, jedna z dwóch, rzuconych na Japonię, zburzyła Nagasaki, ale oszczędziła to zboczeń).

Druczki, wypożyczone mi przez angielską katoliczkę zawierają informację, że angielska gałąź Krucjaty Niepokalanej liczy już z górą 10.000 członków. Ojciec Burdyszek, idący w ślady Ojca Kolbego, gromadzi pieniądze na założenie franciszkańskiej drukarni; jeden druczek mówi, że zgromadził już na ten cel £ 70, drugi uzupełnia, że suma ta wzrosła już do £ 610. Że — jak ongiś „Rycerz Niepokalanej" — centrum angielskie Krucjaty Niepokalanej prowadzi „skrzynkę próśb", na których intencję stale odprawiane są msze.

Druczki te zawierają również informacje o Ojcu Kolbem i o jego procesie beatyfikacyjnym.

Wszystko to są początki skromne. Ale jakież skromne były początki działalności Ojca Kolbego! A przecież wiemy — choćby z książki ojca Burdyszka, jeśli nie z własnej pamięci — że Niepokalanów był w roku 1939 największym przedsiębiorstwem drukarskim w Polsce, że „Rycerz Niepokalanej" był pismem o największym w Polsce nakładzie (do roku 1939 wydrukował już jeden miliard siedemset pięćdziesiąt milionów egzemplarzy stronic), że niepokalanowski „Mały Dziennik" był w Polsce pismem codziennym o największym nakładzie, że w Niepokalanowie drukowano także i szereg innych czasopism religijnych, a w tym także kwartalnik po łacinie „Miles Immaculatae" o nakładzie 40.000 egzemplarzy, że Krucjata Niepokalanej liczyła w Polsce 685.000 członków.

Ze skromnych początków — wyrastają nieraz wielkie dzieła. Doprawdy — możemy cieszyć się z tego, że ziarno, posiane przez naszego wielkiego rodaka, który być może już wkrótce wyniesiony będzie na ołtarze, wschodzi także i na ziemi angielskiej. Wschodzi w społeczeństwie, pomiędzy które los rzucił nas, polskich wychodźców.

POLONUS

DYSKUSJA O „MORALNOŚCI BEZ RELIGII"

Dyskusja w prasie brytyjskiej na temat antyreligijnych audycji Mrs. Margaret Knight nie ustaje. BBC uznało za stosowne podać dane statystyczne o listach, jakie ta instytucja otrzymała z kół słuchaczy radia na obszarze całego kraju. Okazuje się, że dwie pierwsze audycje Mrs. Knight spowodowały 1.500 listów, z których około 900 tj. 60%, potępiało audycje, reszta zaś, tj. w przybliżeniu 600 bądź się solidaryzowała z opiniami Mrs. Knight, bądź też aprobowała decyzję BBC przyjęcia jej wykładów do swego programu.

Sama Mrs. Knight otrzymała ponad 500 listów; wiele nadeszło ich także do redakcji „Listenera", który drukował pełny tekst pogadanek i „Observera", który entuzjastycznie poparł wywody Mrs. Knight.

Dnia 19 stycznia wieczorem odbył się trzeci z kolei wykład p. Knight, która tym razem u boku miała panią Jenny Morton, reprezentującą wręcz przeciwne poglądy. Toczyła się między nimi dyskusja. P. Morton zaatakowała najpierw twierdzenie p. Knigth, jakoby religia była jedynie zbiorem dogmatów i poglądów umysłowych, podnosząc, że dla bardzo wielu ludzi religia stanowi przeżycie i doświadczenie bezpośrednie. P. Knight broniła się, oświadczając, że w swych audycjach mówiła tylko o dogmatach, wypowiadając się przeciw wszczepianiu ich w dusze dzieci, ale że uznaje istnienie bezpośrednich przeżyć religijnych.

P. Morton wykazała następnie z łatwością zupełną niesłuszność twierdzenia swej oponentki, jakoby „klimat myśli coraz bardziej nieprzychylny był dla wiary chrześcijańskiej". „Przeciwnie — podkreśliła p. Morton — w zakresie intelektualnym obecne poglądy naukowe nieskończenie ułatwiają człowiekowi myślenie kategoriami chrześcijańskimi; o ileż to dla niego łatwiejsze niż było dla naszych dziadków."

Zdecydowanie odrzuciła też p. Morton poglądy prelegentki na temat moralnego wychowania dzieci. Poglądy te pozostawiają bez odpowiedzi sprawę nadziei — takiej, jaką daje chrześcijaństwo, a przecież bez nadziei nie może się obejść nikt, od kogo wymaga się wielkich wysiłków.

NOWY WICEPOSTULATOR BEATYFIKACJI I KANONIZACJI SŁUGI BOŻEGO J. CIEPLAKA

Ks. prałat Walerian Meysztowicz z Rzymu, postulator beatyfikacji i kanonizacji ks. arcybiskupa Jana Chrzciciela Cieplaka, mianował i delegował ks. mgra Kazimierza Sołowieja wicepostulatatorem na terenie Wielkiej Brytanii w miejsce ks. prałata W. Cieńskiego, który wyjechał do Francji.

We wszelkich zatem sprawach związanych z szerzeniem prywatnej czci ks. Arcybiskupa Cieplaka należy się zwracać pod podanym niżej adresem, tam też kierując wiadomości o łaskach otrzymanych za pośrednictwem tego Sługi Bożego:

Ks. mgr Kazimierz Sołowiej, 2, Devonia Road, London, N. 1., tel. CANonbury 3439.

Ś. † P.

WIKTOR PIOTROWICZ

Zmarły niedawno w Londynie Wiktor Piotrowicz był jednym z bardzo u nas rzadkich — rzadkich nie tylko na emigracji — znawców zagadnień wyznaniowych Polski. Posiadał też dobrą znajomość naszych ziem wschodnich i ich problemów.

Urodził się w r. 1900 w Kownie, a więc poza granicami wskrzeszonej w r. 1918 Rzeczypospolitej, ale w mieście mimo wszystko, aż prawie po drugą wojnę światową, wciąż jeszcze bardzo polskim. Mając lat 18 wstąpił do POW (okręg kowieński) i za pracę konspiracyjną został przez władze litewskie dwukrotnie uwięziony i oskarżony o zdradę stanu. Uciekł do Wilna i rozpoczął tam studia uniwersyteckie, kontynuując zarazem pracę literacko-dziennikarską, rozpoczętą w Kownie, w założonym tam przy jego współudziale „Dzienniku Polskim". W prasie wileńskiej ogłaszał artykuły polityczne i literackie oraz recenzje teatralne.

W r. 1920 jako ochotnik Wojsk Polskich przydzielony został do biura prasowego Naczelnego Dowództwa. W dwa lata później rozpoczął służbę państwową jako sekretarz Delegata Rządu na Ziemię Wileńską. Był później kierownikiem wydziału wyznań w Wileńskim Urzędzie Wojewodzkim, następnie kierownikiem wydziału wyznań chrześcijańskich w Ministerstwie W. R. i O. P. W latach 1934-39 pełnił różne funkcje w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i jego organach.

Nie przerywał nigdy swej pracy dziennikarsko-literackiej. Był kierownikiem literackim „Słowa" wileńskiego Ogłosił drukiem, poza artykułami rozprawami w „Tygodniku Ilustrowanym", „Wiadomościach Polskich", „Przeglądzie Współczesnym" i prasie codziennej, kilkanaście książek i broszur, wśród których z prac przedwojennych wymienić należy: „Z zagadnień wyznaniowych w Polsce" (Wilno, 1929), „Unia czy demonstracja" (rzecz o obrządku wschodnio-słowiańskim, Wilno, 1930), „Unia i Dyzunia Kościelna w Polsce" Wilno, 1932), „Wschodnie zagadnienia wyznaniowe" (Warszawa, 1939), oraz opracowania literackie: „Współcześni poeci wileńscy" (Wilno 1934) i „Marian Zdziechowski — pięćdziesięciolecie twórczości literackiej" (Wilno, 1934).

W latach 1930-34 zredagował dwutomową, ponad 700 stron liczącą, monografię zbiorową „Wilno i Ziemia Wileńska", ilustrowaną przez Ferdynanda Ruszczyca.

Na emigracji w Londynie ogłosił m.in. w serii wydawnictw Polish Research Centre rozprawę „The Eastern Orthodox Church in Poland" (1942), oraz kilka opracowań w języku polskim, z których ostatnim była broszura „Sytuacja Kościoła Katolickiego w Polsce", wydana w r. 1953.

Na łamach ŻYCIA w latach ubiegłych ukazało się kilka jego artykułów, poświęconych sprawom wyznaniowym, a nacechowanych właściwą mu znajomością przedmiotu.

„DZIWNA PRZYGODA BERNADETKI"

Pod tym tytułem ukazała się książeczka niewielka rozmiarami, ale jakże pełna uroczej treści, o małej Soubirous, której Najśw. Maryja Panna ukazała się w grocie w Lourdes.

Książeczka ta, pióra Janiny Tokarskiej, zapoczątkowuje ważny dział popularnych wydawnictw, zbliżających nas przez życiorysy świętych do spraw Bożych. Ma to szczególnie duże znaczenie z uwagi na dzieci, które nie mają na uchodźstwie lektury religijnej w języku ojczystym w rodzaju wydawnictw, wychodzących ongiś w Poznaniu.

„Dziwna przygoda" jest podana w formie rozmów rodziców z dziećmi i opowiadań księdza. Kreślą nam one niezwykłe dzieje Bernadety i mówią o tym, że Najśw. Maryja Panna z Puy była od najdawniejszych czasów Panią tego zakątka Francji, tak dziś znanego i bliskiego katolikom całego świata.

Janina Tokarska „Dziwna przygoda Bernadetki", okładkę i rysunek wykonał Stefan Baran, wyd. I.P.A.K. Cena 3 szyl. z przesyłką. Do nabycia: Instytut Polski Akcji Katolickiej w W. Br., 51 Eaton Place, London, S.W.1.

CZY PRENUMERUJESZ STALE KSIĄŻKI „BIBLIOTEKI POLSKIEJ"?

WACŁAW LEDNICKI

O TYM I OWYM

„Dalibóg, Iwanie Iwanowiczu, aby z panem gadać, trzeba najpierw grochu się najeść! (To jeszcze nic, Iwan Nikiforowicz i nie takie zdania wypuszcza.)"

Gogol: **Opowieść o tym, jak się pokłócił Iwan Iwanowicz z Iwanem Nikiforowiczem.** Rozdział II.

Odczuwam w tej chwili zakłopotanie podobne do tego, w jakim się znajdują demokraci wobec komunistów. Trapi mnie mianowicie dylemat następujący: czy wolno uciekać się do środków walki używanych przez przeciwników, jeśli środki te w zasadniczej są sprzeczności z ideologią, której się broni? Problem to stary, od wieków bowiem zasada, że cel uświęca środki budziła sprzeciwy. W czasach nowszych Tołstoj zatrząsł sumieniami swoich współczesnych, gdy wystąpił ze swoją nauką o niesprzeciwianiu się złu przez zło.

Obawiam się, że po zapoznaniu się z zamierzeniami mego artykułu, czytelnik uzna wstęp ten za zbyt patetyczny — zamierzenia moje bowiem mogą mu się wydać za skromne, materie w nim roztrząsane niedostatecznie ważne na to, aby aż od zagadnienia użycia lub nie użycia bomby atomowej rzecz tę rozpoczynać?

Myślę jednak, że tematy, którymi chcę się tu zająć zasługują na uwagę, zaś wstęp powyższy potrzebny mi jest tylko po to, aby się wobec czytelnika usprawiedliwić, że będę zmuszony uciekać się tu i ówdzie do pewnych chwytów publicystycznych — o nich bowiem będzie tu mowa — z którymi chciałbym właśnie walkę rozpocząć.

PRYJAPIZM I PRYJAPEJE

Niedawno wystąpił Ojciec św. z „Listem Papieskim" w sprawie „nieprzystojnych" strojów kobiecych, które pono w ostatnich czasach zbytnio się rozpowszechniły. Mnie interesuje zagadnienie inne: „nieprzystojność" obyczajów literackich niektórych naszych publicystów emigracyjnych. Nie mam niestety ani możności, ani czasu na regularne czytanie naszych czasopism, nie wiem więc, o ile owe złe obyczaje nabrały charakteru choroby nagminnej, już to jednak, że kilku przynajmniej autorów, cieszących się zresztą zasłużoną najpewniej popularnością, stale sobie na pogwałcanie zasad przyzwoitości publicystycznej i na odstępstwo od wymagań dobrego smaku pozwala, że redaktorzy poważnych czasopism stale te swoiste elaboraty drukują jest zjawiskiem niepokojącym.

Nie chciałbym wywołać wrażenia, że aroguję sobie jakieś prawa do mentorstwa, że chcę być jakimś Katonem, Pseudo-Longinusem, purystą i purytaninem. Nie, artykuł ten piszę jako najzwyklejszy czytelnik — myślałem nawet początkowo posłać swoje uwagi w formie „Listu do redakcji", ale „List" ten byłby jednak nieco za długi. Piszę więc po prostu jako czytelnik zdający sobie sprawę z ważkości słowa drukowanego. Niejeden wielki pisarz bolał nad tym, że „słowa drukowanego i siekierą nie da się wyrąbać". Gdybyż więcej było pisarzy, którzy o tym chcieliby pamiętać! Gdybyż chcieli pamiętać co wedle Długosza Władysław Jagiełło lubił pono powtarzać: „Słówko z ust wyleci ptaszkiem, ale jeśli było niedorzeczne, i chcesz je cofnąć, wróci wołem".

Zacznę tu od stylu i słownictwa niektórych autorów, poruszę także pewne obsesje tematowe, które stale w ich polemikach osobistych występują. Przykłady będę czerpał jedynie z pamięci, nie mam bowiem pod ręką tu, na wywczasach wakacyjnych w Santa Barbara, gdzie te uwagi kreślę, nic prócz paru ostatnich zeszytów i numerów czasopism polskich.

Powołanie się na świeży „List Papieski" w sprawie naruszających przyzwoitość społeczną strojów kobiecych może nasunąć przypuszczenie, że zabieram się, skoro o piśmiennictwie mam tu mówić, do walki z pornografią. Tak nie jest. Pornografia może być i bywa czasem sztuką*), trudno temu zaprzeczyć. Znane są np. starożytne freski pornograficzne i rzeźby pryjapiczne, albo ilustracje (późniejsze) do **Życia Cezarów** — nieraz świetnie, kunsztownie wykonane, japońskie rysunki i malowidła, niezliczone francuskie ryciny itp. Niejeden malarz wielki na takie „ekscesy" sobie pozwalał. Niejeden poeta i pisarz — nie tylko starożytny po tych ścieżkach chadzał; dosyć tu wymienić Aretina, Voltaire'a, Parny, Byrona, Puszkina, Lermontowa, Fredrę; różni bajkopisarze znakomici, autorzy fraszek i nowelek frywolnych, naśladujących **Dekamerony** i **Heptamerony**, Brantôme'a **Vies des Dames Galantes**, zaś w czasach późniejszych świetne **Pamiętniki** Cassanovy, również liczne nieraz hołdy złożyli muzie pornograficznej. Nie wszystko jednak co w dziedzinie tej zostało napisane zasługiwało na ocenę estetyczną. Lermontowa np. poematy pornograficzne krytyki estetycznej nie wytrzymują. Doskonale kiedyś problem ten przedstawił Włodzimierz Sołowjew, gdy Lermontowa w tym względzie z Puszkinem porównał. Puszkin, twierdził Sołowjew, odznaczał się nawet i w tych swoich (pornograficznych) utworach, gracją, wdziękiem, celnością dowcipu i poczuciem estetycznym, których Lermontow znowu w podobnych utworach wcale nie okazuje. Stąd wszystko, co Lermontow w tym duchu napisał było grube, ciężkie, obleśne i ordynarne. Sołowjew, jeśli mnie pamięć nie myli, porównał Puszkina do jaskółki, która czasem może skrzydłem lekko dotknąć powierzchni brudnej kałuży, aby wnet wznieść się wysoko pod niebem, podczas gdy Lermontowa muza pornograficzna siedzi po uszy pogrążona w błotnistej kałuży — do obrzydliwej ropuchy podobna. Jakiś pedant z cechu „naturalistów" w literaturze pewno zechce Sołowjewa poprawić, i stwierdzi, że zgodnie z jego własnymi obserwacjami — „przynajmniej u nas na wsi, w majątku mego ojca — ropuchy nie siedziały w kałużach, lecz pod dużymi głazami leżały". Mniejsza z tym — metafora słynnego filozofa rosyjskiego Sołowjewa coś niecoś tłumaczy. Muza pornograficzna — brzmi to paradoksalnie — jest muzą dyskretną — muzą „dla niewielu". Muza skandalu — a jednak muza „poufna", wymaga bowiem dyskrecji. Każdy z wielkich artystów, który jej podszeptów słuchał, widział, że dzielić się tworami tego natchnienia może jedynie z niewieloma widzami lub czytelnikami. Pisał więc i malował — dla wybranych. Często wolałby nawet tych swoich utworów w drukowanej postaci nie widzieć. A jeśli się w druku ukazywały — to w specjalnych, szczególnie drogich bibliofilskich wydaniach — przeważnie już po śmierci autorów. W kółku smakoszy literackich, którzy potrafią nawet w opracowaniu takiego materiału dostrzec lwi pazur mistrza, podobne utwory mogą liczyć na ocenę ściśle estetyczną. Na forum publicznym, gdzie pierwszy lepszy grubianin może zaryczeć obleśnym śmiechem — zwiewna szata sztuki opada — jakby przerażona — i zostaje przed oczami tylko brzydota publicznie obnażanych okolic nieskromnych. Na tym właściwie polega przecie sekret nieprzyzwoitej anegdoty, i ją można opowiedzieć tylko w towarzystwie wybranym. Mam więc wciąż na myśli utwory artystyczne. O pornografii pozbawionej wszelkich ambicji artystycznych — mówić nie byłoby warto. Pornograficzne fotografie kupują ci, których nie sztuka, lecz treść pornograficzna interesuje. Otóż coś podobnego dzieje się i w naszym dziennikarstwie, jeśli chodzi o owe obsesyjne tematy. Ale o tym trochę później. Są i takie rzeczy, których nawet najbardziej swobodni pisarze nigdy poza nawiasem intymnej rozmowy lub korespondencji nie pozwolą sobie dotknąć. Znamy wartość powiedzeń dosadnych, jędrnych, smakowitych, śmiałych. Ponieważ jesteśmy stworzeniami z ciała i ducha — często nasza fizjologia dostarcza nam materiału do trafnych i przekonywujących porównań. Chętnie przyjmujemy starą formułę: „Psychologus nemo, nisi physiologus". Często też kusi nas w tym świat zwierzęcy — na tym polega nieraz tzw. „chwyt udziwnienia" posługujący się — zwłaszcza w „literaturze" ludowej, w folklorze — materiałem wziętym z płciowego życia zwierząt. Toteż w listach, w rozmowach prywatnych nie tylko ludzie zwyczajni, ale i wielcy pisarze pozwalają sobie na wyrazy i metafory „niecenzuralne". Nie wolno jednak przekraczać granicy, którą wytyczyły konwencje stare jak świat, przez ludzi cywilizowanych ustanowione, między słowem prywatnym a słowem publicznym. Przyjaciel pisząc do przyjaciela użyje nieraz wyrazów, których nie może użyć w artykule. Ale co znaczy **nie może**? Nie może ten, kto posiada świadomość owej granicy między słowem prywatnym a słowem publicznym, kto — inaczej mówiąc — jest człowiekiem kulturalnym i obdarzonym poczuciem taktu i smaku. Kochanek kochance pisze i mówi rzeczy, których głośno za żadne skarby nie powtórzy. Wolno przecież takie teksty reprodukować zwłaszcza, jeśli należą do przeszłości i zarazem do puścizny literackiej jednostek wyjątkowych. Wolno nawet posunąć się dalej — dopuszczalnym jest cytowanie w dziele naukowym tekstów niecenzuralnych ludzi nawet zwyczajnych, jeśli takie cytaty potrzebne są dla udowodnienia tej czy innej tezy naukowej, lub jeśli w ogóle służą one za materiał historykowi. Nie wolno jednak — tak mi się przynajmniej zdaje — lekceważyć tych konwenansów w dziennikarstwie, zwłaszcza w polemikach osobistych. Następuje tu bowiem coś, co właśnie owe fotografie pornograficzne przypomina. Nieraz mam w takich wypadkach wrażenie, że oto ktoś wyjął z kieszeni taką obrzydliwą fotografię, w dodatku przedstawiającą swego znajomego (wiemy, że się i takie rzeczy zdarzają) i wszystkim zebranym pokazał!

*) Redakcja ma odmienny pogląd na tę sprawę.

EGZEKWIE EGOCENTRYCZNE

Niedawno mogliśmy zauważyć, jak z roztrząsań na temat, kiedy Stanisław August stracił niewinność przeszło się — jak Rosjanie powiadają — „na liczności". Zaznaczę tu nawiasowo, że mało jest interesującą sprawą dla ogółu polskiego, tym mniej chyba dla ogółu niepolskiego, (co prawda czytelnik obcy tych roztrząsań czytać nie będzie) kiedy ostatni król Polski „rozprawiczył się" (je cite mon auteur), ale już absolutnie nikogo nie obchodzą losy erotyczne dziennikarzy, a nawet historyków-amatorów, którzy nad tymi sprawami się rozwodzą, choćby nawet byli oni dziennikarzami i amatorami pierwszej klasy. Tymczasem panowie ci wymieniają między sobą aluzję, obrzucają się wzajemnie osobistymi inkryminacjami, wysuwają supozycje i oskarżenia na temat orgazmu, siły i bezsiły płciowej, „wielkości i niewoli" męskiej — z arogancją doprawdy rozbrajającą! Jest w tym swoistym ekshibicjonizmie coś **patetycznego** — ale w angielskim tego słowa znaczeniu. Wytworzył się jakiś bardzo swoisty styl polemiki polskiej pozwalający na powiedzenie w słowie drukowanym wszystkiego co ślina na język przyniesie. Wyznaję, że nigdy nie lubiłem nudystów — wiała od nich zawsze na mnie jakaś żałosna, beznadziejnie głupia nuda. Ich zaaferowanie — jakieś takie biurokratyczne — codziennymi sprawami ludzkimi w stanie gołym — ot tak — jak gdyby nic — „goły jestem, a co to szkodzi" — śmieszyło mnie zawsze niepomiernie. Piszę o tym, opierając się na jakichś filmach, które kiedyś widziałem — pokazywano takie obozy „poważnie" do tych praktyk zabierających się ludzi. Było to poza tym widowisko bardzo brzydkie. Staje się jednak całkowicie nieznośne, gdy się przedostaje do literatury. Nie mam na myśli w tej chwili opisów scen erotycznych, które na ogół są nieodłącznym atrybutem powieści „sentymentalnej". Hugo, Maupassant, Zola, Hardy, Lawrence, Proust, Tołstoj, Turgieniew, u nas Reymont i Żeromski — najpoważniejsi więc, najbardziej ideologiczni pisarze wprowadzali do utworów swoich epizody wysokiego erotycznego napięcia, nacechowane nieraz straszliwą nawet zmysłowością. Dotyczyły one jednak osób fikcyjnych — bohaterów „sztucznych" — i ta właśnie okoliczność, ta anonimowość ograniczała i neutralizowała niejako — w zasadzie — potężny żywioł liryczny, który te sceny i epizody tworzył. Innymi słowy znów estetyka grała rolę decydującą.

Dobrym przykładem jest Żeromski. Wiemy, jak daleko poszedł w scenach erotycznych w **Dziejach Grzechu** — a jednak w swoim czasie, już w Polsce niepodległej, zajął niezmiernie ostre stanowisko w sprawie wierszy pornograficznych Puszkina. (Polemika z Arcybaszewem i L. Kozłowskim dookoła Baryki-bohatera **Przedwiośnia**). Nasi emigracyjni „nudyści" — to całkiem co innego. Wytworzyli jakąś atmosferę specjalną dookoła siebie, przekonani są, że wolno im głosić najbardziej wątpliwe poglądy na tematy erotyczne jako prawdy dogmatyczne. A wszystko to oparte na „własnym doświadczeniu", którym stale obficie czytelnika częstują. Osobiste ich doświadczenia kazały im uznać żywioł erotyczny za najważniejszy w życiu jednostki, szczególnie wybitnej, a przez to i w życiu społeczeństwa.

Apodyktycznie ugruntowawszy tę swoją kardynalną zasadę mówią o fenomenach erotycznych — publicznie — z nonszalancją, której zadaniem jest ową kardynalną zasadę nadal ugruntowywać. Czyta się więc np. zdanie takie: „Wiedomo, że Dostojewski kiedyś zgwałcił dziecko". Zdanie „nudysty" — rzucone ot tak sobie: — „rzecz przecie normalna, prosta — o czym tu gadać! „Wiadomo, że Dostojewski upił się kiedyś", „wiadomo, że Dostojewski napisał **Zbrodnię i karę**", „wiadomo, że Dostojewski był w Paryżu i w Londynie", „wiadomo, że Dostojewski był wielkim pisarzem", „wiadomo, że Dostojewski zgwałcił dziecko". Jaka różnica? Żadna. „Zgwałcił dziecko" czy wykąpał się — normalne to zajęcia, upodobania i czynności. I mówić o tym należy w taki właśnie sposób, bo otwiera to możliwości inne. Otóż mnie szczególnie o te inne możliwości chodzi.

Wczoraj powiedziałem sobie swobodnie, że Dostojewski dziecko zgwałcił, dziś, że Sienkiewicz „lubił" małe dziewczynki — a jutro powiem — ot tak sobie zwyczajnie, znowu swobodnie, że mój kolega, taki a taki, nigdy orgazmu nie zaznał.

A drugi pan **urbi et orbi** będzie zapewniał, że nie tylko „wolność wybrał", ale że „homoseksualistą uświadomionym nie został, choć w środowiskach tych stale przebywał". Pytam się, kogo to obchodzi i kogo to interesować może? O trzecim dowiemy się naraz, że był i jest impotensem. A wszystko to wynika nie tylko z jakiejś erotomanii, ale z nieznośnego egocentrycyzmu. Dziwna to rzecz, że ludzie, którzy tyle lat w świecie anglosaskim spędzili, nie dojrzeli i nie zechcieli sobie przyswoić jednej znamiennej i zarazem bardzo cennej cechy, którą wyrobiły wieki wspaniałej tradycji społecznej i literackiej tego świata: posłuszeństwo zasadzie understatement i walka z egocentrycyzmem. Nie tylko Anglicy i Amerykanie z zaimkiem ja w złych byli i są stosunkach: A. de Vigny już kiedyś zauważył, że wyraz ja jest najtrudniejszym do użycia wyrazem. Tymczasem Vigny był przecie jednym z najbardziej „personalnych" poetów! Nasi panowie trudności tej nie odczuwają wcale. Ja, ja, ja i ja od początku do końca. Zabierze się np. ktoś niewątpliwie utalentowany, zadziwiający nawet różnorodnością swych zainteresowań i wiedzy, do napisania artykułu jubileuszowego o wielkim obcym pisarzu i naraz lwią część swego szkicu poświęca skrupulatnemu opowiadaniu o swoich snach ze wszystkimi możliwymi szczegółami, a także i o medytacjach, które go nawiedzały, gdy się kiedyś przechadzał po swoim mieszkaniu, oczywiście pałacowym. (Xavier de Maistre — autoanalityk sentymentalny — odbywał przynajmniej „podróż" skromniejszą, bo tylko „dookoła swego pokoju"). Wcale nie walczę tu z liryzmem ani nawet z autobiografią — nutki osobiste ożywiają, nieraz przyjemnie, narrację — chodzi mi tylko o poczucie miary.

Inni znowu nudzą relacjami o zerwanych przyjaźniach, o nekrologach pisanych o swoich przyjaciołach za ich życia i zarazem nie krępując się wcale, kreślą urągliwe naturalistyczne portrety tych swoich żyjących przyjaciół, których po imieniu w druku nazywają! Czytamy, że p. X. (nazwany, jak rzekłem, po imieniu) jest „brudny, otyły, żarłoczny, niechlujny, plugawy, lubieżny". Przecie takich rzeczy człowiek człowiekowi nie mówi — jakim że prawem wolno mu w ten sposób o żyjącym człowieku pisać? I drukować! I w dodatku być wydrukowanym w piśmie, w którym tenże jego przyjaciel „pogrzebany" stale pisuje? Kto tych ludzi takich obyczajów nauczył? Kto u nas rozpanoszył ten nieznośny egocentrycyzm i to łamanie dobrych obyczajów w publicystyce i w życiu publicznym w ogóle? Nazwisk w tym artykule nie wymieniam — poza nazwiskami wielkich poetów i pisarzy — wolę więc i w tym wypadku od reguły przyjętej nie odstępować. Czytelnik sam się chyba domyśli bez zaglądania do „dna **mojego** oka". Ten „swawolny" egocentryzm znaduje wyraz — poczyniłem do tego aluzje na początku — także i w słownictwie naszych egocentryków. Źródło inspiracji pewno to samo — ta sama działa tu tradycja — tradycja krzepy lat oenerowo-ozonowych, bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny. Oprócz mistrzów rodzimych natchnieniem służyli Hitler, Mussolini i Bolszewicy.

Nasi „napoleonidzi" czy też „napoleonięta" lubują się w metaforach, które uważają za mocne, dosadne i przekonywujące. Jeden z nich np. powiada, że „angielski czytelnik tyleż pragnie polskiej książki co rozwolnienia". Ani mocne, ani dosadne, ani przekonywujące. Tylko bardzo nieładne. I znów inny pisze o swoim przyjacielu-malarzu: „Maźnięcia (zdyscyplinowanego) pędzla nabrzmiałego kolorem jak spermą..." Obraz zaiste prześliczny, świadczący o wspaniałym zmyśle obserwacji i znakomitej imaginacji artystycznej. Tenże pisarz w taki to sposób mówi o naszych politykach londyńskich: „Niech ich wielka cholera ściśnie, żeby raz te parszywe kundle zawaliły się ze swoimi wyślizganymi pyskami..." Nie mówię już o tym, że pisać w ten sposób o londyńskich mężach stanu w chwili, gdy wszystkie gabinety Europy i Ameryki z niepokojem i z największą troską wyczekują exposé nowego polskiego premiera i ministra spraw zagranicznych — nie bardzo przystoi. Chodzi mi o co innego: każdy element w tej metaforze jest błędny, „Wielka cholera"? A czy jest „mała"? Czemu „parszywe kundle" mają się „zawalić"? Kundlów na ogół taki los nigdy nie spotyka. Rząd może się zawalić, ale nie kundle. A co znaczą „wyślizgane pyski"? Skąd i jak mogą mieć kundle „pyski wyślizgane"? Nieprzekonywujące i bardzo słabo zbudowane porównanie. A nie mówię już o tym, że w pewnych wypadkach tych ludzi wartałoby raczej na „dojne krowy" niż na „kundlów parszywych" pasować.

EXHIBICJA CZY EXHUMACJA

Zająłem się więc niektórymi szczegółami polemik, które się na szpaltach dwóch naczelnych czasopism emigracyjnych pojawiły. Ponieważ dotyczą one dziennikarzy i pisarzy wybitnych i dobrze rzeszy emigracyjnej znanych, niejeden czytelnik pozna z przytoczonych tu przykładów rozmaitych powiedzeń, zdaniem moim do druku się nie nadających, osoby, które do owych „portretów literackich" pozowały, jak również i autorów, których tu bezimiennie przytoczyłem. Niejeden czytelnik być może zauważy, że portrety te ściśle na ogół oddają charakterystyczne cechy oryginałów, ponieważ często utrzymane są w stylizacji, która właśnie owe najbardziej istotne cechy uwypukla. Usłyszę więc, być może, że, powiedzmy p. X. naprawdę doskonale się nadawał do atmosfery bachusowych uczt w zakamarkach gabinetowych restauracyjek polskich, zaś na Bond Street, nawet dziś, kiedy znikli z jej chodników dżentelmeni, którzy dawniej w cylindrach i żakietach tam spacerowali, czuć się musi nieswojo, że bliższy on nietrzebionym puszczom wschodnim niż od wieków strzyżonym ogrodom zachodnim. Każda groteska czy karykatura zawsze jakąś jedną właściwość typiczną (Wacław Borowy zawsze mówił **typiczny** a nie **typowy**) osobnika czy zjawiska uwydatnia. Gogol, jeden z największych mistrzów groteski i karykatury, stylizacji i hiperboli, jak wiadomo bardzo daleko, chyba aż za daleko, w kierunku tym poszedł. Żywioł satyryczny, który nasycał sztukę tego Ukraińca, w duchu właściwie nienawidzącego Rosji, nadawał tej sztuce często jednostronny kierunek: mam na myśli sławne gogolowskie „brudne szczegóły" i „brudną rzeczywistość". I oto Gogol, romantyk i stylizator, stał się — rzecz skądinąd paradoksalna — ojcem rosyjskiego naturalizmu, lubującego się w najbardziej obcesowych obrazach „prawdy" życia ludzkiego. I właśnie „brudne szczegóły", „rzeczywistość brudna", zbyt często wyglądające z pism Gogola, stały się źródłem natchnienia, nauką estetyczną dla realistów i naturalistów rosyjskich, a po nich i dla wielu dzisiejszych pisarzy Europy zachodniej i Ameryki! Za tę „rzeczywistość brudną", ze owe niepotrzebne „brudne szczegóły" prowadził swój proces przeciwko wielkim realistom rosyjskim świetny pisarz i krytyk rosyjski Konstanty Leontiew czyniąc Gogola ojcem tej tradycji rosyjskiej. I słusznie — bo czyż „prawda" życiowa w sztuce musi być koniecznie brzydka i nieczysta, aby być prawdą? Czyż brzydota jest sankcją estetyczną prawdy? Przejaskrawienie, impresjonizm, symbolizm — to nieodmienne atrybuty wszelkiej sztuki, nie tylko groteskowej, nie tylko dramatycznej (nie mogę tu tłumaczyć, czemu sztukę dramatyczną specjalnie wymieniam) — ależ każdy artysta liczyć się musi jednak już nie tylko z dobrym smakiem i ze zdrowym rozsądkiem, lecz także i z obyczajnością.

Nietzsche — bodaj w swoim **Zaratustrze** — zastanawiając się nad rozmaitymi nieraz hipertroficznie rozwiniętymi cechami takiej czy innej osobowości ludzkiej powiedział coś w tym rodzaju: „Oto widzę idącego człowieka z tak ogromnym uchem, że w pierwszej chwili pomyślałem sobie — idzie ucho ogromne z doczepionym do niego człowiekiem". Zgodzimy się także na podobne inne groteski — oczy, zęby, usta, ręce, brzuch mogą łatwo zastąpić ucho Nietzschego... Gdy jednak niektórzy nasi panowie paradują z wystawionymi lub odsłoniętymi innymi organami lub częściami swego ciała, bierze nas ochota zaprowadzić ich do szpitala.

Wróćmy jednak do owych polemik osobistych, o których wyżej była mowa. Powie mi czytelnik być może i to, że nie ma racji ku temu, aby się ktoś postronny ujmował za kimś, kto doskonale, z pewnością nawet lepiej, ostrzej, z większą swadą, temperamentem i bezsprzecznie z większym talentem dziennikarskim potrafi sam się obronić. Słusznie. Nie tylko z talentem lecz ze wspaniałą pogardą dla wszelkich zasad skromności osobistej będzie on o siebie walczył. Nie zapominajmy bowiem o egocentryzmie, o którym wyżej wspomniałem. Świeżo właśnie jeden z tych, co stale na siebie ściągają uwagę publiczną (gdybyż wiedzieli, jak strasznie wszystkich czytelników to nudzi) w odpowiedzi na ucharakteryzowanie go na Rosjanina z „Sankt-Pietierburga" (określenie to zresztą niesłuszne — z Petersburgiem czasów carskich ma on istotnie mało co wspólnego, nie jest on żadną Telimeną w spodniach) po prostu przytoczył opinię pewnego korespondenta włoskiego, który jakimś cudem uznał go za „najbardziej łacińską umysłowość w Polsce". Proszę! Co na to można powiedzieć? Mnie jednak wcale na obronie tych zaatakowanych jednostek nie zależy — gdyż oczywiście poradzą sobie i bez mojej pomocy. Mam na względzie wcale nie interesy takiej czy innej jednostki, lecz nas wszystkich, czytający ogół polski.

Zajrzałem właśnie — po napisaniu pierwszej części artykułu niniejszego — do miejscowej,*) wcale m.in. ładnie urządzonej i obszernej Biblioteki Publicznej, aby znaleźć jakieś potwierdzenie dla moich wywodów na temat dobrych i złych obyczajów w literaturze.

Zacny i stary Larousse — choć zawsze będzie się nazywał **Nouveau Larousse Illustré** — powiada na temat „autrage aux bonnes moeurs" w tomie O co następuje: „Sous cette qualification sont incriminés les actes **intellectuels** qui, par leurs manifestations extérieures, presentent le caractère d'une offense à ce **sentiment intime qu'on appelle l'honnêteté publique**". (op. cit. p. r. Claude Auger; podkreślenia moje). Trudno o lepszą, subtelniejszą i dokładniejszą definicję. A więc tak — chodzi, jak to sam, bez pomocy Larousse'a, na początku zaznaczyłem — o wyczucie osobiste, intymne, o dobry smak, o posłuszeństwo wobec niepisanej konwencji dobrych obyczajów publicznych, innymi słowy o dobre zachowanie. „Honnêteté publique" znaczy nie tylko uczciwość moralną — znaczy dobre wychowanie. „Un homme honnête" — jak i w dawnym języku polskim **uczciwy** — znaczy porządny, przystojny, zacny, przyzwoity, a więc „człowiek dobrze wychowany". (Takie właśnie dotąd posiada znaczenie wyraz rosyjski — **ucztiwyj** — dawno z polskiego zapożyczony). Otóż ludzie źle wychowani do towarzystwa dostępu nie mają — względnie, w razie konieczności z dobrego towarzystwa są usuwani. To samo czyni we własnej obronie społeczeństwo ze źle wychowanymi publicystami: podlegają oni karom sądowym. Niektórzy z naszych obecnych dziennikarzy nie chcą z tymi regulaminami obowiązującymi każdego człowieka pióra w krajach cywilizowanych wcale się liczyć. Szczególniej przykre to robi wrażenie,

*) Santa Barbara, California.

(Dokończenie na str. 4)

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł niniejszy skierowałem kolejno do Redakcyj dwóch czasopism, z którymi od czasu do czasu współpracuję i na których gościnność myślałem, że mogłem i w tym wypadku liczyć: do *Wiadomości* najpierw,, następnie do *Kultury*. Jednakże żadne z tych czasopism nie zechciało mego artykułu zamieścić w całości — *Wiadomości* odrzuciły to, co następnie gotowa była ogłosić *Kultura*, ta ostatnia odrzuciła to, na co godziły się *Wiadomości*.

W przekonaniu moim, jako autora, moja gawęda straciłaby na swoim walorze — jeśli w ogóle jakiś walor posiada — przy takim podziale. Poza tym, nabrałaby charakteru ataków skierowanych przeciwko *Wiadomościom* i *Kulturze*, a to nie było i nie jest moim zamiarem. Nie zwalczam w niej ani jednostek, ani takich czy innych czasopism: walczę o dobre obyczaje dziennikarskie i pisarskie — o nic więcej.

Wobec powyżej wyłuszczonych okoliczności uprzejmie proszę Pana Redaktora o łaskawe zamieszczenie mojej gawędy w *Życiu* — za gościnność okazaną w tym szczególnym wypadku będę Panu Redaktorowi niezmiernie obowiązany i wdzięczny.

Proszę przyjąć wyrazy wysokiego szacunku i prawdziwego poważania

Wacław Lednicki

Berkeley, 12. 1. 1955.

BIBLIOTEKA POLSKA

KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS"
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ
PIELGRZYMKA DO JASNEJ GÓRY

WŁADYSŁAW REYMONT

TERMIN NADSYŁANIA PRZEDPŁATY w kwocie 8/6 (+6 d za przes.) **UPŁYWA 31 MARCA.** Po ukazaniu się książka kosztować będzie 15/-. **PROSIMY NIE ZWLEKAĆ Z ZAMÓWIENIEM.**

Czeki, przekazy pocztowe (P.O. i M.O.) na „VERITAS FOUNDATION".

Nowość tygodnia! Nowość tygodnia!

HENRYK RZEWUSKI

PAMIĄTKI IMCI P. SEWERYNA SOPLICY

CZEŚNIKA PARNAWSKIEGO

Stron 292. Oprawa płócienna. Obwoluta.

Cena 15/- (plus 6 d. za przesyłkę).

Do nabycia

W KATOLICKIM OŚRODKU WYDAWNICZYM „VERITAS"
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

O TYM I OWYM

(Dokończenie ze str. 3)

że piszą przecież na emigracji, wśród obcych, obcych obojętnych, jak gdyby więc podkreślając tym swoim stylem fakt, że piszą w języku, którego nikt prócz swoich nie czyta.

Zdawałoby się, że wolno było spodziewać się wręcz czegoś innego: poczucie dobrego smaku, dbałość o godność własną i dostojeństwo polskie powinny raczej ograniczyć ową swobodę, którą im daje pobyt w społeczeństwie obcym, w społeczeństwie całkowicie ich ignorującym. Zdawałoby się, że przynajmniej szacunek dla siebie i swoich powinien by zastąpić obojętność obcą. Jedno jest pewne — że żaden z nich nie pozwoliłby sobie w tym stylu pisać, gdyby pisał po angielsku, po francusku albo po niemiecku, a nie po polsku, albo gdyby pisał w wolnej Polsce a nie na emigracji, a co najważniejsze — gdyby pisał i żył pod okiem zorganizowanej opinii publicznej. I to właśnie szczególniej jest niemiłe i zawstydzające w całej tej historii — bo, poza wszystkimi innymi, posiada ona znamiona nadużywania wolności słowa — tego wielkiego atrybutu społeczeństw ucywilizowanych — przez nieociosanych gburów, którzy do tej wolności nie dorosli. Do takich zapewne wniosków doszedłby obserwator obcy, najprawdopodobniej zresztą machnąwszy pogardliwie ręką na te wybryki, jako na objawy dziwacznego, kulturą żadną nie tkniętego życia plemion egzotycznych.

MORTUO LEONI ET LEPORES INSULTANT

Zajmowałem się dotychczas atakami na ludzi żywych, rozmowami pomiędzy żyjącymi — nie zaś „Rozmowami umarłych". I, jak podkreśliłem, nie interesowały mnie losy jednostek atakowanych, jako że one same bronić się mogą — chodziło mi o obronę interesów ogółu, wystąpiłem w obronie dobrych obyczajów literackich. Ale inaczej — w pewnym sensie — muszę potraktować ataki na zmarłych — tu bronić trzeba właśnie jednostki, jako że ona sama broni się nie może. Rzecz prosta, że i tu o dobre obyczaje literackie chodzi. Stare przysłowie łacińskie powiada — De mortuis nil nisi bene" (nie de mortibus — jak niedawno ktoś zacny w „Wiadomościach" łaciną Zagłoby napisał). Wiemy, że historyk częstokroć od tej zasady musi odstępować. Ja się tu jednak historykami nie zajmuję — interesują mnie dziennikarze. Źle jest, gdy historyk w swoich sporach ze zmarłymi daje się unosić pasjom osobistym. Gorzej jeszcze, gdy coś podobnego się dzieje z dziennikarzem. Dziennikarz bowiem — taka już jego funkcja zasadnicza — dyskusję prowadzi, z gruba rzecz biorąc, na tematy aktualne, stąd u samych podwalin jego działalności tkwi założenie, że rozmawia on z żyjącymi, nie tylko rozmawia — prowokuje, do sporu zaprasza. Rzecz prosta, że dziennikarz może także zajmować się przeszłością, tym bardziej niedawną, że może pisać rozmaite wspominki przygodne, a nawet i całe pamiętniki. Nieładnie jednak wygląda on, gdy pozwala sobie na coś, co posiada wszelkie cechy załatwiania rachunków osobistych z tymi, którzy do sporu stanąć nie mogą, gdy pozwala sobie na szkalowanie ludzi porządnych, zacnych, otoczonych ogólnym szacunkiem, ludzi o wielkich zasługach. Tu nie będę, bo nie mogę pisać anonimowo.

Czesław Miłosz zeszpecił swój pod wieloma względami interesujący i błyskotliwie napisany artykuł — jak wiemy, Miłosz jest jednym z najlepszych stylistów wśród naszych dziennikarzy — nie tylko pewnymi szczegółami z zakresu „seksu", do których poczyniłem już swoje aluzje (ach! ten homoseksualizm — bez wzmianki o nim żadnego już prawie artykułu w prasie emigracyjnej człowiek nie znajdzie!) — lecz doprawdy niedozwolonymi napaściami na ś. p. Karola Zawodzińskiego. Złożyłem parę lat temu swój hołd („Wiadomości" nr 218) „Rotmistrzowi-Profesorowi" K. Zawodzińskiemu, wielkiemu erudycie, wybitnemu znawcy literatury zachodnio-europejskiej, polskiej i rosyjskiej, miłośnikowi poezji, świetnemu pisarzowi i człowiekowi nieskazitelnej uczciwości osobistej — nie będę więc tutaj tego nekrologu powtarzać. Powiem w każdym razie tyle, że określenia i uwagi „Ta figura była interesująca", „wkład jego w badania nad wierszem polskim mógłby być poważny, gdyby nie liczne aberacje", „oficer kawalerii dosłownie opętany miłością do poezji" — są określeniami i uwagami gorszącymi swoją bezceremonialnością. Miłosz przedstawia tego znakomitego erudytę, który studiował romanistykę na Uniwersytecie Petersburskim, który się wsławił swymi świetnymi rozprawami z zakresu teorii literatury, wersyfikacji i w ogóle literatury polskiej, swymi wspaniałymi analizami krytycznymi, drukowanymi w najprzedniejszych czasopismach naukowych w Polsce niepodległej, który w uznaniu tych wielkich zasług swoich został profesorem literatur słowiańskich na Uniwersytecie w Toruniu, tego człowieka Miłosz przedstawia jako kawalerzystę-amatora, oficera-dyletanta i maniaka. Nie — tego, przy całej mojej cierpliwości strawić nie mogę! Przytacza tenże Miłosz czyjeś głupie powiedzenie, że „półkule mózgu i półkule siedzenia u Zawodzińskiego się pomięszały". Na to dam krótką odpowiedź, że z pewnością w siedzeniu Zawodzińskiego było więcej oleju niż u poniektórych w głowie. Nie znam sprawy Czechowicza wcale, nie mam najmniejszego pojęcia, jaką rolę odegrał w niej ś. p. Zawodziński — wiem jedno, że mój zmarły przyjaciel był człowiekiem honoru, człowiekiem, który w każdej, najbłahszej nawet sytuacji nieugięcie przestrzegał zasady fair play i wobec tego insynuacjom Miłosza nie wierzę. A pełno wszelkich insynuacji w tym krótkim ustępie (nie przytoczyłem wszystkiego) ś. p. Zawodzińskiego dotyczącym w artykule Miłosza. O „czystość moralną" Zawodziński dbał przez całe swoje życie i mogę zapewnić jego napastnika, że nie czekał ś. p. Zawodziński na to, kiedy ona „zaczynała wchodzić w modę" w świecie komunistycznym. Czy ś. p. Zawodziński odróżniał „trzy kategorie" — „komunistów, intelektualistów i homoseksualistów" nie interesuje mnie wcale, bo nie są to żadne kategorie — jako że komunista może być intelektualistą i homoseksualistą, zaś homoseksualista, komunistą i intelektualistą — przynajmniej w teorii. Wiem natomiast jedno — że ś. p. Zawodziński odróżniał doskonale dwie inne i całkiem rozdzielne kategorie: ludzi uczciwych i ludzi nieuczciwych, poetów dobrych i złych — marnych, drugorzędnych, trzeciorzędnych... „Da liegt der Hund begraben.".

Proszę Czytelnika o łaskawe wybaczenie mi tonu tej obrony, ależ napaść ta na człowieka, który przez całe życie służył sztuce i który przez całe swoje życie był prawdziwym rycerzem honoru oburzyła mnie podwójnie: drgnęły we mnie uczucia głębokiej przyjaźni, wiernie w sercu moim dla zmarłego przechowane, zaalarmowany zostałem także przez to szczególniej, że ta niesprawiedliwa, jak mi się zdaje, i zgryźliwa przymówka spłynęła z tak świetnego, wyrafinowanego pióra

PESCATORI DI PERLE

Chciałbym tu jeszcze coś — przy tej okazji — poruszyć. Miłosz stworzył w życiu emigracji polskiej pewną tradycję, która nie polskich miała założycieli i rzucił slogan, który również nie był ani polskim, ani jego pomysłem. Mam na myśli owo hasło Krawczenki: „wybrałem wolność", które Miłosz „spolonizował" i które coraz częściej jest powtarzane przez naśladowców tych obu „poszukiwaczy wolności". Nie zabierałem głosu w dyskusjach na temat Miłosza, ponieważ zbyt dużo było wulgarnych na niego napaści, a także i dlatego, że bardzo inteligentnie przedstawił on w swoim czasie swój własny dylemat. Dziś chciałbym tylko kilka zastrzeżeń do tej „sprawy" dorzucić, a to ze względu na fakt, że ci „pescatori" zanadto zaczynają społeczeństwa zachodnie sobą zajmować. I to także zatrąca nudą.

Że we wrześniu 1939 zwiali z Polski przez Kuty-Rumunię liczni dygnitariusze rządowi i rozmaici ich satelici, że w ślad za nimi udała się opozycja, której celem było utworzenie rządu demokratycznego na obczyźnie — wiemy o tym wszyscy dobrze. Nieco później wydarli się z Polski ludzie, którzy wstąpili do sił zbrojnych polskich na Zachodzie, wydostały się także poszczególne jednostki. W Polsce natomiast zostało całe społeczeństwo — Naród został tam. Gdy Polskę zalała fala rosyjska — znów ten i ów z Polski uciekł. Ale i wtedy Naród został na miejscu. Zostali ci, co nie mogli się wydostać, ale zostali także ci, którzy uznali, że obowiązkiem ich było dzielić losy ojczyzny. W Polsce żyć i trwać, walczyć o swoją duchową niezależność, o zachowanie w rodzinie tradycji polskiej jest trudniej niż w krajach wolnych. Każdy z nas — emigrantów — doskonale wie o tym. Wie, że jakkolwiek ciężki może być byt emigranta — mniej jest on niebezpieczny i w końcu osobiście jest wygodniejszy niż egzystencja każdego Polaka w Polsce dzisiejszej. Ci, co z Polski uciekali we wrześniu 1939 roku, w latach 1940-1944. — uciekali z myślą, że będzie to ucieczka tymczasowa; niejeden wierzył, że się osobiście przyczyni do walki o Polskę w krajach sojuszniczych. Najczystszym przykładem takiej postawy — jest żołnierz polski. Nikt przecie z tego exodusu żadnej historii epickiej nie tworzył. Przeciwnie — im dalej zachodzi emigrant dzisiejszy w lata, tym bardziej rośnie w nim tęsknota do opuszczonej ojczyzny i tym mocniej gnębią go wyrzuty sumienia. Nie może ze świadomości swojej usunąć przeświadczenia, że wobec masy cierpiącego narodu jest on uprzywilejowanym wybrańcem losu i stąd płyną jego usiłowania, aby pracą dla sprawy polskiej w jakiś, choćby minimalny, sposób usprawiedliwić swoją nieobecność w Kraju. Takie jest — myślę — ogólne poczucie dzisiejszej emigracji polskiej. I oto naraz, jeden po drugim ucieka z Polski i światu trąbi o swoim heroizmie: „wybrałem wolność!". Do diabła z tym „wybrałem wolność!". Czym się tu chwalić, co tu tłumaczyć trzeba, kiedy wszystko jest tak jasne? W tym, że Pan „wybrałeś wolność" nie ma żadnej zasługi. Nawet, jeśli jesteś Pan pisarzem, poetą, dziennikarzem, oficerem marynarki, profesorem albo szewcem. Udało ci się uciec — chwal za to Pana Boga, a nie siebie — bo w tym żadnej, ale to żadnej Twojej zasługi nie ma. Owszem, możesz, powinieneś nawet mówić i pisać o tym, co się w Polsce dzieje, o cierpieniach swoich własnych, jako duchowo wolnego człowieka, milcz jednak o swojej zasłudze, bo ta sprawa nikogo nie interesuje — przeciwnie, Twoje zbyt głośne wywiady prasowe, odczyty, artykuły w czasopismach amerykańskich tylko w każdym emigrancie polskim niesmak budzą. Dopatrzyć się bowiem w tej autoreklamie pierwiastków bohaterstwa on nie potrafi. Pomyśl o żołnierzu polskim — tysiące ich, a kto zna ich historię, kto czytał o tym, jak **Oni** „wybierali wolność"? Bo oni jej nie wybierali wcale — oni szli przez najstraszniejsze przeszkody, by o wolność Kraju walczyć, nie zaś wygodniejsze życie dla siebie urządzić. I dlatego właśnie oni milczą, a Ty o zasłudze swojej „urbi et orbi" krzyczysz. Nie chciałbym być źle zrozumiany — nie atakuję tu nikogo osobiście, jako że dla poniektórych z tych uciekinierów mam dużo współczucia, uznania i szacunku; chodzi mi jednak o wrażenie, które te „spowiedzi" częstokroć w społeczeństwie emigracyjnym wywołują.

POKA NIE TRIEBUJET POETA...

Jeśli w wyjazdach z kraju — w większości wypadków — grają rolę zrozumiałe, nader proste ludzkie motywy, to i w niektórych — nie wszystkich — powrotach do Kraju, także zrozumiałe ludzkie motywy nieraz decydują. Są ludzie, których jedyną treścią jest przywiązanie do ziemi ojczystej, do gleby, z której wyrośli, do nieba, do powietrza rodzinnego kraju, do jego ludzi wreszcie. Żyć i trwać w środowisku obcym, słuchać mowy cudzej, jeść chleb, który codzień o tym innym — swoim — chlebie przypomina — jest dla nich niemożliwością fizyczną. Ten i ów wraca więc — bo życie na obczyźnie, bez bliskich sobie ludzi, bez rodziców, dzieci, braci, sióstr i przyjaciół nie jest dla niego życiem. Wolałby umrzeć — niż żyć bez nich, niż żyć bez polskiej strawy codziennej. Nie należy tych ludzi w czambuł potępiać. Kiedy blisko już ćwierć wieku temu rosyjski emigrant, pan wielki i działacz polityczny w Rosji całej znany, książę Paweł Dołgorukow nie wytrzymał gorzkich warunków wygnania, tknięty nieodpartą, żywiołową tęsknota za swoją ziemią rodzinną, przedostał się z Francji przez Polskę (gdzie go gościł jego przyjaciel a mój ojciec Aleksander Lednicki) do Rosji Sowieckiej i tam, gdzieś koło swoich dawnych włości został poznany, zaaresztowany, wywieziony do Moskwy i następnie rozstrzelany — nikt z jego ziomków o zdradę go ani posądzał, ani oskarżał — każdy rozpoznał w tym powrocie tragedię wygnańca, która do ostatecznej miary sięgnęła.

Nie będę twierdził, że powrót Tuwima całkowicie tragedię księcia Dołgorukowa powtarza, ale i w Tuwima wypadku należy o jego czysto ludzkim aspekcie pamiętać. Tuwim był z krwi i kości, z całego swego jestestwa — jako człowiek i jako poeta — dzieckiem Łodzi i Warszawy. Na obcym świecie — zwłaszcza w Nowym Jorku — bez Warszawy czuł się jak ryba na piasku. Nie powinniśmy zapominać i o jego urazie niemieckim. Żyd, Żyd głęboko polski — cierpiał w nim bezgranicznie z powodu tego, co spotkało w Polsce Żydów z ręki niemieckiej. Widywałem Tuwima i przyjaźniłem się z nim — od lat wielu zresztą. W Rosji — naiwnie, bo Tuwim był w polityce człowiekiem nacechowanym prawdziwie bezbronną naiwnością — widział jedynego, rzeczywistego, zasadniczego wroga Niemców. Odwrót Niemców z Rosji przeżywał Tuwim, jak odwrót Zakonu Krzyżackiego w „Konradzie Wallenrodzie". Przeżywał wojnę Tuwim i na ostateczną klęskę Niemiec czekał z taką namiętnością, że gdy ten „błażennyj mig nastał" — Tuwim bez hamysłu prawie pomknął do Polski. Że w Polsce nie zachował się tak, jak był powinien i może nawet mógł — wiemy. Pisał rzeczy na obstalunek, „zarabiał" na zaufanie — swoim serwilizmem. Ależ Tuwim zawsze był taki. Dawniej brał zasiłki z M. S. Z., od Becka — potem brał zasiłki pewno również z M. S. Z. Pieniądze były mu konieczne — bo musiał wydawać, brał je nie po to, by żyć, albo zbierać i odkładać — ale właśnie po to, by wydawać. W tym względzie, jak i w wielu innych, był prawdziwie beztroski i absolutnie nie miał skrupułów. Jedyne źródło, z którego Tuwim by złamanego grosza nie wziął — to źródło niemieckie. Wszelkie inne — zawsze było dobre. Tuwim był człowiekiem do szpiku kości lekkomyślnym. Ale z tym wszystkim razem — był wielkim poetą. Właściwie — par excellence poetą — niczym więcej. Zawsze takie właśnie odnosiłem wrażenie: swego rodzaju syfon poetycki — człowiek naciśnie i tryska poezja. Jego ulubionym poetą i mistrzem — był Puszkin. Także przede wszystkim poeta, mistrz „poezji czystej" — tylko poeta. W wypadku Puszkina to jednak duże zastrzeżenia, jeśli o tę formułę chodzi, są konieczne. Puszkin był człowiekiem niezmiernie rozumnym, nie mówiąc już o tym, że, gdy w sprawach politycznych zabierał głos — występował z niego człowiek zakrojony na miarę wielkiego męża stanu (tak między innymi mówi o nim Mickiewicz). Tuwim podobnych cech nie posiadał wcale — podkreśliłem już to wyżej. Ale zachwyt swój dla Puszkina Tuwim karmił na własny sposób wystylizowawszy wielkiego poetę rosyjskiego. Podobno malarze, gdy malują Chrystusa zawsze w pewnym stopniu „autoportretują" Jego oblicze Tak i Tuwim robił z Puszkinem. Być może nieświadomie — ale przecież naśladował Tuwim Puszkina, w swojej jednak stylizacji. Powiem więcej — identyfikował siebie z Puszkinem. Tak więc — Puszkin brał pieniądze od swego rządu — Tuwim brał od swego; Puszkin pozwalał sobie na epigramaty polityczne — podobnież Tuwim. Sentymentalne sytuacje Puszkina w imaginacji Tuwima także jakby w jego własnym życiu się powtarzały. Nawet fizycznie Tuwim — poświadomie — czuł jakieś podobieństwo z Puszkinem i pieścił w sobie to poczucie najpewniej myślą o afrykańskiej krwi, która ogrzewała osobowość Puszkina tak, jak grzała — Tuwima — krew semicka.

Ideałem Tuwima stał się Puszkinowy swobodny, beztroski, lekkomyślny, ale genialny Mozart — Tuwim uważał siebie za takiego właśnie Mozarta i tak właśnie żył.

Wiele trzeba Tuwimowi darować — to pewne — ale darować trzeba. Bo Tuwim — to wielki poeta polski, może w poezji naszych czasów — największy. I może — jeśli o rodzimą literacką tradycję chodzi — najbardziej w mickiewiczowskim stylu polski... Nie z **III części Dziadów** on się wywodzi — ale z **Sonetów Krymskich**, z Ballad — późniejszych (rosyjskiego okresu), i — naturalnie z **Pana Tadeusza.** Mowę polską, poezję, życie, obyczaje, naturę polską Tuwim wchłonął całą swoją duszą i odtworzył — wyraził tę swoją żywiołową miłość dla wszystkiego co polskie z siłą i mistrzostwem na miarę wiernego i wielkiego ucznia Mickiewicza.

Stąd, jakże groteskowo wyglądają napaści rozmaitych trzeciorzędnych poetów, o których nikt nie pamięta, bo pamiętać nie chce — usiłujących wyzyskać **salto mortale** Tuwima dla własnej swojej chwały i próbujących przekonać nas, że ich osobiste poetyckie zasługi były większe niż dokonania i rola naprawdę wielkiego poety, poety z Bożej łaski!

Niezbyt budujące są też potępienia — w koźmianowskim dostojnie pisane stylu, przygniatające Tuwima przykładem Mickiewicza! Autor tej nagany asumpt swój wziął niejako — trzebaż takiego naiwnego wypadku — z pobytu Mickiewicza w Poznańskim! Już jeżeli chciał w Tuwima strzały swoje wypuszczać, to wypadało raczej na wyżynach „Improwizacji" stanąć — a nie mierzyć w niego „z nizin poznańskich" — z tych „borów i lasów", które cieniem swoim czarnym gnębiły poetę, i strzelać z tej niziny jego życia, którą sam Mickiewicz kiedyś w przystępie rozpaczy nazwał „une existence animale et végétale". Nie, nie tego Mickiewicza należało Tuwimowi przeciwstawiać — to pewne. Nauka będzie musiała wrócić do lasu — skąd przyszła. „Szczęśliwy, kto wracając pod rodzinną strzechę, — Z przeszłości dla przyszłości uzbierał pociechę..."

SIMPLEX SERVUS DEI

Trzeba już kończyć. Wszelako jeszcze jeden mały temacik chciałbym rozpatrzyć. Tym razem zastanawiam się nad tym, jak dalece niektórzy nasi dziennikarze lubują się w symplifikowaniu zjawisk kulturalnych. Karol Zbyszewski zastanawiając się nad przyczynami małej popularności literatury polskiej na świecie — ot tak, prosto z mostu, ustanawia jakieś swoje prawo kolejności, które rzekomo decyduje o rozgłosie takiego czy innego piśmiennictwa: „Naprzód ogromne osiągnięcia polityczne danego kraju — potem rozgłos jego literatury". I dodaje: „Tylko człowiek o kreciej ślepocie uniwersyteckiego profesora literatury może (nie) dostrzegać faktu, że renoma pisarzy jest stale konsekwencją renomy ich krajów..."

„A świat interesuje się tylko potężnymi, przodującymi krajami." I tu od razu przechodzi do Rosji, zapytując, „czemu przypisać np. szalone wzięcie literatury rosyjskiej w zeszłym stuleciu?" Odpowiedź jego jest prosta: „Oczywiście temu, że Rosja była wielką potęgą... wszyscy byli ciekawi co się też dzieje w tym kolosie bez kolei, ale za to z paszportami. Rzucono się więc do literatury rosyjskiej". Nie będę kontynuował, powiem od razu, że w całym tym skądinąd zabawnym artykule, podobnie jak w przytoczonych powyżej ustępach, roi się od spostrzeżeń słusznych i niesłusznych, pomieszanych jak groch z kapustą, z tym jednak, że niesłusznych jest niestety daleko więcej niż słusznych. Proponuję uważniejsze rozpatrzenie tego misch-maschu. Zacznijmy od „prawa" kolejności.

Kiedy na samym początku XIX stulecia p. de Staël odkryła i narzuciła całemu światu literaturę i filozofię idealistyczną niemiecką, Niemcy nie byli żadną potęgą polityczną i żadnym wielkim mocarstwem. Schiller i Goethe zdobyli wszystkie kraje Europy na długo przed czasami, kiedy zaczęła trząść Europą żelazna ręka Bismarcka. Mało przekonywujące jest chyba rozumowanie, że Shakespeare np. został uznany na całym świecie za największego poetę dramatycznego — dlatego, że Anglia była wielkim mocarstwem? Rzecz jasna, że popularność swoją literatura francuska w wielkim stopniu zawdzięczała w wiekach XVII-XVIII ogólnemu politycznemu i kulturalnemu prestiżowi Francji, nie zmienia to jednak faktu, że rzadko która literatura europejska tego właśnie okresu odznaczyła się taką olbrzymią ilością wielkich poetów i pisarzy i taką różnorodnością literackich rodzajów reprezentowanych tak świetnie — jak właśnie we Francji: tragedia, komedia, romanse, pamiętniki, traktaty moralistyczne, krytyka literacka, bajka, poematy i powieści filozoficzne, krasomówstwo, historia, traktaty estetyczne, sprawozdania literacko-artystyczne... I rzadko która literatura ukazuje podobną ciągłość rozwoju i zachowanie wciąż tego samego wysokiego poziomu — od wieków średnich, od Chansons de Geste, romansu rycerskiego, Trystana, trubadurów i truwerów, lais Marie de France, contes pieux, fabliaux, misteriów, przez Rabelais, Montaigne'a, Ronsarda i Plejadę, Racine'a, Corneille'a, Molièra, La Bruyère'a, Bossueta, Fénelona, Pascala, Lesage'a, Diderota, Rousseau, Voltaire'a, poetów romantycznych — Lamartine'a, V. Hugo, Musseta, A.de Vigny,— Balzaca, Stendhala, Flauberta, Maupassanta, Baudelaire'a, Zolę, France'a i Prousta. Wymieniłem tu tylko tych, których każdy człowiek inteligentny zna choćby z nazwiska; zjawiska te literackie, jak też i nazwiska tworzące nieprzerwane pasmo wspaniałego rozwoju, świadczą o jednym — o wielkości nie tylko literatury Francji, lecz także o wielkości jej kultury. Prestiż polityczny Francji działał — ależ działał on w pewnych tylko okresach, najważniejszym jednak czynnikiem był geniusz wielkiego narodu francuskiego. Szczególnie groteskowo wyglądają argumenty K. Zbyszewskiego, gdy na przykład Grecji i Rzymu się powołuje. Żadne tu symplifikacje nie zaradzą! Dopóki na świecie będą istnieli humaniści, ząb czasu w żadnym stopniu nie umniejszy niedoścignionej wielkości tych obu piśmiennictw, z których cała nasza cywilizacja wyrosła. Czemu tak się stało? Niech K. Zbyszewski choćby do polskich poetów i pisarzy Złotego Wieku zajrzy — może oni mu to wytłumaczą. Podobnie wygląda sprawa wielu innych wielkich literatur — tworzyły je przeróżne czynniki, rozwój ich był uzależniony od wielu warunków i okoliczności i błędne byłoby ich wielkość i popularność uzależniać wyłącznie od czynnika politycznego i od „rozgłosu" kraju, do którego one należały czy należą. K. Zbyszewskiemu na drodze stanęły literatury skandynawskie, jako literatury państw małych. Wymyślił, aby poglądy swoje ocalić, argumenty nader wątpliwej wartości. Niemcy jego zdaniem — dla jakichś przez samego Zbyszewskiego zresztą nie wyjaśnionych powodów — naraz postanowiły o swojej literaturze zapomnieć i zajęły się rozsławianiem literatur skandynawskich! Tylko ramionami można na te wywody naszego historyka literatury powszechnej wzruszyć! Niemcy nowe były zawsze, tak jak i Rosja, krajem przekładów i krajem doskonałych filologów i historyków literatury, stąd i Skandynawów przetłumaczono, a że tak się stało, iż wyrosła właśnie z końcem XIX wieku w krajach tych znakomita plejada pisarzy — zaczęto ich czytać skwapliwie nie tylko w Niemczech i w Rosji (która także bardzo wcześnie się nimi przejęła i na rosyjski przetłumaczyła), ale i na całym świecie początkowo w języku niemieckim, jako że języki skandynawskie szeroko nie były znane. A że moda ta przeszła —t o także naturalne: tak się złożyło, że prądy modernistyczne, dekadenckie, symboliczne, szczególniej okazały się właśnie w krajach skandynawskich płodne. Dziś — chwilowo zapewne — literatura ta (Francuzi, Rosjanie, Niemcy, Anglicy, Polacy) jest w zapomnieniu. Odbiło się to i na Skandynawach. Wrócimy do nich, jeśli i kiedy wrócimy do innych modernistów.

A cóż mamy powiedzieć o literaturze polskiej? Każdy chyba zgodzi się na to, że literatura z czasów rozbiorów była literaturą większego daleko polotu, stylu i znaczenia niż literatura „Polskiego Wielkiego Mocarstwa" XX stulecia. I była popularniejsza na świecie — Mickiewicza rola w Rosji, w Niemczech, we Włoszech i Francji, nie mówiąc o krajach słowiańskich — większa chyba była, niż któregokolwiek z poetów dwudziestolecia niepodległości, mimo że Polska mocarstwowa hałasu na świecie starała się robić wiele. A z popularnością Sienkiewicza w wieku XIX i w samych początkach XX, czyją popularność z pisarzy Polski niepodległej można porównać? K. Zbyszewski dziwi się, że ludzie czytają O. Wilde'a, Galsworthy'ego, Chestertona, Conan Doyle'a... Niechże spróbuje napisać choćby jedną stronę w stylu Oskara Wilde'a — to dam konia z rzędem temu, kto K. Zbyszewskiego nie zechce czytać. Literatura hiszpańska dzisiejsza nie cieszy się popularnością taką, jaką cieszyła się i dotąd cieszy literatura hiszpańska Złotego Wieku — dosyć przypomnieć inwazję, której dokonała w Europie novela picaresca, powodzenie teatru Lope de Vegi i Calderona, sławę wszechświatową Cervantesa. Prawdą jest, że ten rozkwit literatury hiszpańskiej przypadł w udziale Hiszpanii w okresie kulminacji jej politycznego prestiżu — czy jednak sławę swoją Cervantes zawdzięczał jedynie temu prestiżowi? Dzisiejsze piśmiennictwo hiszpańskie znane jest mniej nie tylko dlatego, że Hiszpania naszych czasów posiada „rozgłos" mniejszy (choć Franco na brak rozgłosu skarżyć się nie może), ale i dlatego, że wśród utalentowanych współczesnych pisarzy hiszpańskich nie ma jednak ani jednego na miarę Cervantesa, Lope de Vegi i Calderona. Przejdźmy jednak do następnych, „nie krecich zdziwień profesorskich", lecz do „jasnowidzeń" naszego Privatgelehrte. „Świat interesuje się tylko potężnymi, przodującymi krajami" i „zaraz" zainteresował się Rosją — „kolosem bez kolei, ale za to z paszportami". Gdzie tu logika? Co prawda, w ogóle, w całym tym artykule logiki doszukać się trudno. Bo oto np. inna równie budująca sentencja: „Analfabeta Charlemagne błyska jak meteor — „Chançon de Roland" zdobywa markę arcydzieła tej epoki". Przede wszystkim pisze się Chanson a nie Chançon; trudno Karola Wielkiego i jego dzieło nazwać meteorem; poza tym **Chanson de Roland** powstała o jakieś trzy wieki po klęsce pod Ronceveaux(778 r.), z którą została związana i którą bardzo po swojemu wystylizowała, uczyniwszy Rolanda nie zaś Karola Wielkiego swoim bohaterem, i jest to arcydzieło najwspanialszym wyrazem zespołu pojęć i ideałów całego średniowiecznego świata Europy chrześcijańskiej i feudalnej; dodam wreszcie, że na historyczno-filozoficzne uznanie swego prawa kolejki do wielkości czekała **Chanson de Roland** długo, to pewne. K. Zbyszewski w takie szczegóły nie wchodzi i dla niego Gaston Paris albo Michel, wydawca rękopisu Oxfordzkiego (1837), to najprawdopodobniej jakieś inne „krety" czy „szczury" profesorskie, paryskie. I jeszcze jedno: w tym razie najpierw klęska — a potem dopiero rozgłos!

Dobrze: — zainteresowano się więc Rosją, bo nie miała kolei, ale za to miała paszporty. Smutno doprawdy się robi! Pisali w Polsce i uczyli: Spasowicz, J. Tretiak, A. Brückner, M. Zdziechowski, wreszcie nizej podpisany i tłumaczyli, czemu warto było się literaturą rosyjską zajmować — na nic się to zdało. K. Zbyszewski — typowy „niepodległościowiec": Rosja — to brak kolei, ale za to paszporty". Tymczasem Rosja drugiej połowy XIX wieku i początków XX, to kraj pięknego teatru, utalentowanych dziennikarzy i bogatych miesięczników, mówców znamienitych, mówców na największą skalę, głębokich i uczonych prawników, wielkich uczonych w najrozmaitszych dziedzinach, doskonałych uczelni wyższych i średnich, sądów doprawdy nieskazitelnych, zdolnych inżynierów, świetnych lekarzy, kupców przedsiębiorczych i znakomitych dyplomatów. Rosja tego okresu to imperium pozostające w stałym kontakcie z Europą — nie tylko z „europejskimi gabinetami", lecz z europejską kulturą, światem intelektualnym i towarzyskim. Wielkie to imperium, w którym współżyły różne — rozliczne — narodowości i wyznania, kultury i obyczaje, które obejmowało rozmaite gleby, klimaty — krajobrazy, słowem elementy geograficzne i etniczne. Czy w kraju takim mogło brakować źródeł do natchnienia dla myśli ludzkiej i do rozszerzenia widnokręgów człowieka? Nie — nie z nieba spadła na Rosję jej wielka literatura — wyrosła ona z tej gleby bogatej, wyrosła ponad mury autokratycznego więzienia i stała się wynikiem współżycia rosyjskiej elity umysłowej nie tylko z owymi różnorodnymi plemionami i narodami zasiedlającymi Rosję — lecz z intymnego współżycia elity rosyjskiej z Europą. Geniusz narodowy rosyjski, gdy go dotknęła Europa swoją różdżką czarodziejską — stworzył te wszystkie cuda. Pojawiły się plejady poetów i pisarzy znakomitych, na europejską skalę wielkich i z nich urodziły się te trzy olbrzymy: Turgieniew, Tołstoj i Dostojewski, którzy położyli swoje niezatarte piętno na obliczu literatury europejskiej i amerykańskiej. I myli się K. Zbyszewski, gdy mówi o „szalonym wzięciu literatury rosyjskiej w zeszłym stuleciu". Tyle przynajmniej wiedzieć powinien, że „szalone wzięcie" nastąpiło dopiero w naszych czasach. Nie łatwa droga do tego prowadziła. Pionierami byli: Mérimée ze swoim kultem Puszkina; Turgieniew — prawie stale przebywający w Paryżu — i jego przyjaciele obcy Flaubert, Maupassant, Goncourtowie, Henry James; M. de Vogüé ze swoim **Roman russe**; rozmaici uczeni slawiści i pisarze, jak Rambaud, Leger, Haumant, Lirondelle, Dupuy, Duchesne, Legras, Mazon, Mauriac... nie będę tu dawał K. Zbyszewskiemu lekcji z zakresu rusycystyki — niech zajrzy do prac wymienionych autorów, to mu pomoże. Przyszły wreszcie — dopiero w latach dwudziestych naszego stulecia — integralne przekłady francuskie i angielskie. A przyjęcie tej inwazji przez Europę — poprzedziły wielkie wstrząsy i przemiany duchowe w Europie... Słowem, nie takie to wszystko proste — Panie Zbyszewski!

K. Zbyszewski powiada: „z dzieł Tołstoja, Czechowa, Turgieniewa, Dostojewskiego, Gogola, Gonczarowa, Gorkiego, Lejkina, Szczedryna... jak z lustra wyzierała Rosja en pieds". I tu — nie tylko groch z kapustą — ile mucha w zupie. Lejkin — obok Tołstoja i Dostojewskiego! Gusty i znajomości autora zaiste znakomite! **En pieds.** Nie pisze się tak. Termin techniczny w języku malarzy przyjęty, znaczący „od stóp do głów", po francusku używa się jedynie w formie liczby pojedyńczej: **„en pied".** Można natomiast użyć liczby mnogiej w powiedzeniu **„mettre les pieds dans le plat".** Trzeba być ostrożnym. Jak kto o tej Rosji K. Zbyszewskiego **en pieds** przedstawionej przeczyta, może sobie i o butach w liczbie pojedyńczej — przy tej sposobności — pomyśleć.

PLANGEVOLMENTE

Muszę teraz Czytelnika prosić o wybaczenie mi folgi, którą tu sobie dałem — wiedziałem, że tak się stać mogło i dlatego starałem się już we wstępie do mego artykułu obronić siebie przed łatwym zarzutem o brak konsekwencji. Grzeczność nakazuje, aby na listy odpisywać w języku, w którym zostały napisane: odpisałem w języku, który przez niektórych lepiej zostanie zrozumiany, niż wszelkie inne możliwe do użycia mowy.

Wacław Lednicki

Santa Barbara, Cal., w sierpniu 1954 r.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.